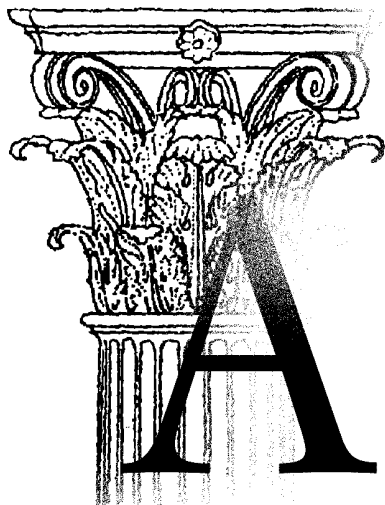
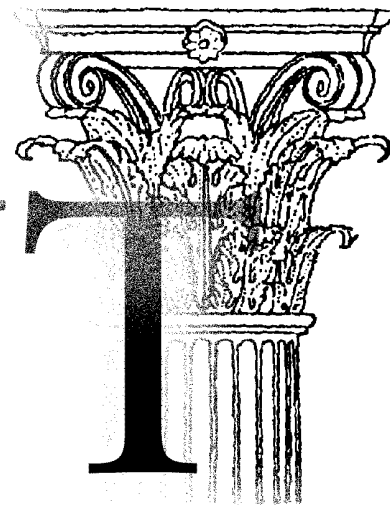




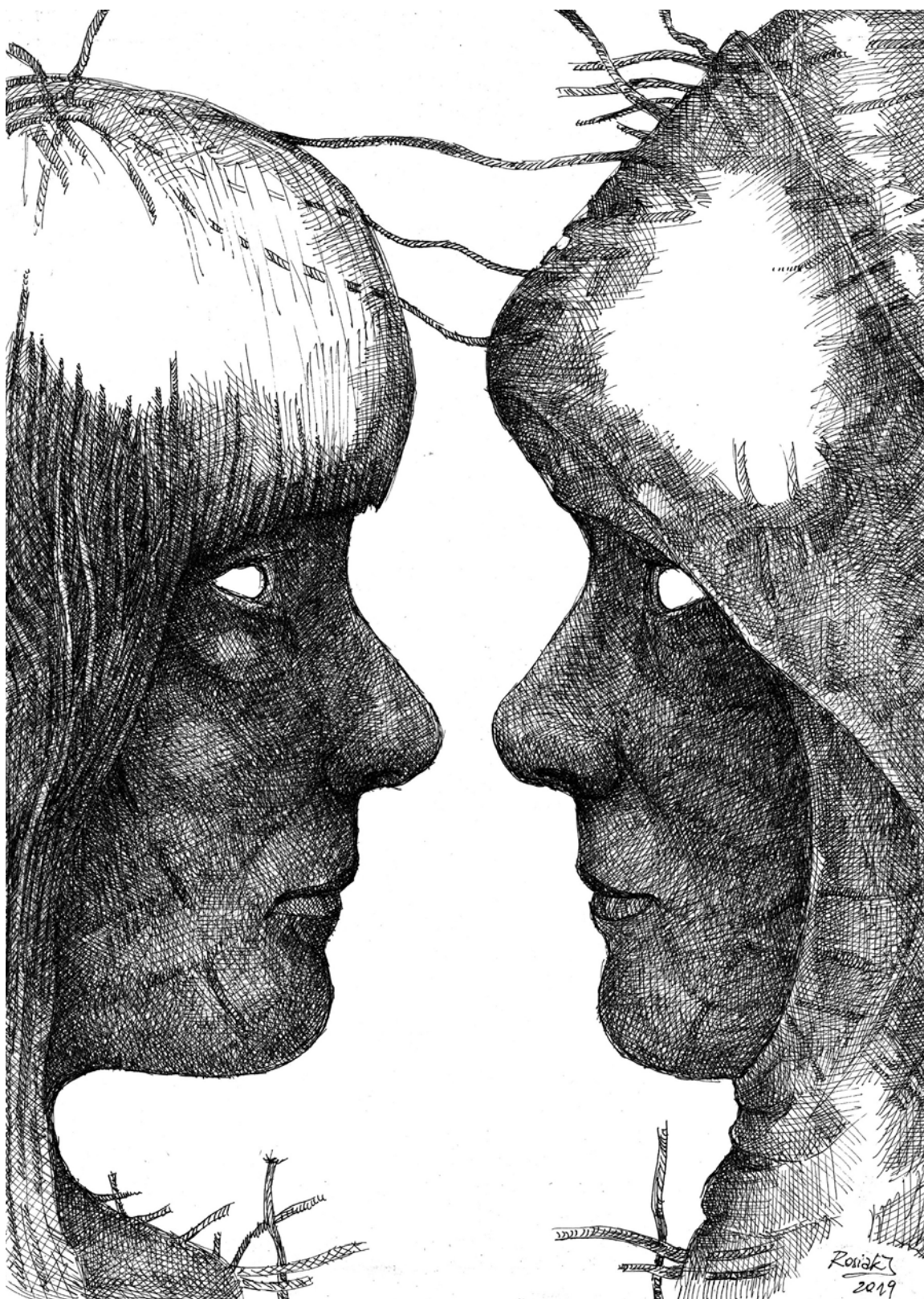
MIESIĘCZNIK LITERACKI



AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13.10-00.22 PCN 4902 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 10 (374) Rok XXIX PAŹDZIERNIK 2026 cena 10 zł (w tym 8% VAT)

✉ e-mail: akant24@wp.pl, www.akant.org



Jacek Rosiak Miarka za miarkę

Joanna Hetman Krajewska

Ciotka

Spaloną ciotkę pochowaliśmy w złociste dni jesieni
Prochy jak kawa neska z gazetki Lidla
Rozpuszczały się w powietrzu
razem z obrazami zatrzymanymi z czarnobiałego telewizora

z wysiłku pogrzebowego wystarczyło na wieniec
i ostatni dyżur Anioła Stróża
a z kupki papierków spod sztywnych od czystości ścierek
grabarz zagrał na trąbce
na pobudkę albo na do widzenia

starej ślepej ciotce opadła uśpiona głowa
a potem ciotka ocknęła się
przeciagnęła
kątem oka złowiła złote korony
kątem ucha blaszany śpiew
pomachała chusteczką z babiego lata
i już jej nie było

Piotr Smolak

Neverending story

namalowałam dziewczynkę z wybitymi zębami
ma takie same włosy jak ja
lalkę która tańczy i pluje ogniem

pani chciała wezwać psychologa
ale mama wzięła mnie do domu i zaserwowała melisę
za oknem jesień starła na proch końcówkę lata

przez noc warczał pies na parkingu
biedny pies
potem sąsiad za ścianą albo samochód

o wschodzie słońca mama ubrała mnie
i poszliśmy na wzgórze za miastem

wiatr w porywach był południowo-wschodni
barometr korzystny
opady żadne
ułożyliśmy się więc wśród traw powyżej torów

wystarczył gwałtowny obrót tułowia
żeby zapoczątkować ruch
resztą zajmowała się grawitacja

żeby nas nie zauważył
żeby tylko nas nie zauważył
szepiała mama szarpiać mnie za rękaw

wielu dotarło w ten sposób do krain
skąd żaden wędrowiec jeszcze nie wrócił
nas jednak ominęła ta atrakcja

do dzisiaj mama nie chce spojrzeć mi w oczy
do dzisiaj nie mogę się odnaleźć

z pracy wyrzucają mnie co pół roku
mężczyźni odchodzą po pierwszym pocałunku
kiedy kończę terapię myślę o następnej

mama nie chce spojrzeć mi w oczy
chyba powiem jej że to nie był zły pomysł



Jacek Rosiak Okruch

Maria Balcer

Pora odlotu

Niebo w szarościach
skrzydlate bumerangi
pora odlotu

Beniamin Misiak

chłodne wieczory

wypełzył
spod gorących kamieni
chłodne wieczory

zrodzone o brzasku
z białych Perseid
plotą wianki z maków
w gwiazdozbiorach traw

myślałeś, że
będziesz żyć wiecznie;
rozpieszczona kwieciem,
potykasz się o zmierzch;
myślałeś – przepadła
noc taka

lecz są
i więcej ich niż dni;
nie sposób wszystkich
przepłakać

Wiesław Marcysiak

Ruch

Cieniu mój.
Siedzisz we mnie
Mocno przylegasz
I nie puszczasz
Nic bym bez ciebie nie zrobił
A chciałbym
Uwolnij mnie
Proszę.
Ale wtedy nie wiem
Czy się ruszę
Czy ty mną poruszysz
Jak dłoń rękawiczką

Katarzyna Dominik

Stadium terminalne

Szum odległych głębin
przenika przez szczeliny dnia.
Promienie słońca
łamią się na krawędziach wiatru.
W pauzach między biciem serca
dojrzewają owoce
w sennych sadach.

Wtedy na martwym ciebie
pojawiają się ciarki,
zapis czegoś żywego.
Wszystko przestaje się trzymać
rutyny
zostaje zaledwie zapach
dziwnie znajomy
a jednak obcy.

Ulica Kapielowa

Od ponad tygodnia, codziennie rano jeździł nowym rowerem do centrum miasta, na długo oczekiwaną rehabilitację nóg prądami i polem magnetycznym. Już blisko rok, po wypadku rowerowym, w którym na banalnym skrzyżowaniu nie zauważył go kierowca samochodu dostawczego, gdy jechał nad ranem do pracy. Uderzenie było solidne, takie salto z rowerem, przez maskę, na asfalt i idealne lądowanie, instynktownie podparte dłońmi przed twarzą. Tylko wielki prąd w nogach i zdarty prawy płatek nosa. Na SOR-ze zdziwieni, żadnych złamań, wewnętrznych obrażeń, jedynie potłuczenia nóg od ramy roweru – prawie cud, o krok od kalectwa.

Był kolejny przełom lata i jesieni, chyba jedno z bardziej nostalgicznych mgnień roku. Zbliżając się do rzeki, przed wielkimi mostami kolejowymi, gdzie w okrągłych przelotach spały gołębie, jadąc ulicą w dół, mijał po lewej stronie solidny budynek elektrociepłowni, który (dla niego) stał tam zawsze, a teraz go metodycznie kruszą do sterty zmielonego gruzu, a potem do wagonów, na pociągi, co po szynach tymi mostami wyjadą w Polskę, na podsypkę nowej drogi. Tak to po woli wielki gmach znika w szczerbatych oknach i tylko komin zostaje póki co sam, jak niebotyczny maszt, industrialna stela, ostatnia kolumna z anten wieńcem - akantem.

W przeblaskach jeszcze pamiętał, że kiedy był dzieckiem i przejeżdżał tamtędy autobusem – starym ogórkem, wczesną zimą, to w takiej betonowej rynnie kaskadowej ludzie się kapali, w gorących spustach wody z elektrociepłowni do rzeki i wyglądali jak legendarni samurajowie, hartujący się przed śmiercią. A obok regularnie burczały przeciskające się prawie na styk, pod przęsłami XIX wiecznych, ceglanych mostów, barki z węglem lub żwirem, niemal ocierając się o dębowe bele odbojnic filarów i przy tym parujący ludzie, którzy głośno krzyczeli w termicznej ekstazie, przez mgłę, do północnych światów.

Każdego następnego dnia, budynku ubywało, chrupiały kruszarki, a koparki i buldożery gryzły szare mury, których brak i ich braku wciąż nie mógł zrozumieć.

Marek S.Podborski,
liryaakantu@gmail.com

Konrad Komorowski

Memoriał

Na szarej ścianie
Przy żadnej ulicy
Nie twego miasta
Wisi:

Nie było tu Napoleona,
ani świętych kości
– tablica zwykłości.

Nie było tu bitwy,
ruchu oporu,
ani papieża,
zbrodni, grobu
– pamiątka zwykłości.

Nie w brązie,
nie w marmurze,
ani w stali.

W tekturze,
Palcem namazali:

„Po nikim,
od nikogo,
o nikim,
dla wszystkich,
– za nic.”

Wojciech Bieluń – Targosz

Rozważania 13.

Dałem się przeciągnąć w przestrzeń
odmiennego widzenia świata, przez niewiadome Bóg wie co,
a potem odebrało mi nadzieję, jakby żywiło się moim strachem.
Rozważam, czy ta nowa rzeczywistość
jest prawdą, czy tylko kolejną pułapką umysłu.
Bo jeśli nadzieja umarła,
to co trzyma mnie przy życiu,
w tym odwróconym świecie.
Pustka przecież nie powinna ważyć tak wiele.
Siedzę bez ruchu, nadsłuchując własnego wnętrza,
jakby było to jedyne bezpieczne miejsce.
To coś, co odebrało mi nadzieję,
nie dotknęło jednak wszystkiego.
Głęboko pod warstwą lęku, wyczuwam miarowy cichy puls –
ślad dawnego ciepła.
To nie jest już walka o powrót,
ale cicha obserwacja ruin, na których tli się jeszcze
nieznana, minimalna część istnienia.

Cezary Żarna

Za chwilę niebo

zrówna się z ziemią, na podłodze spoczywają w pokoju
zwłoki. Są tylko zwłoki i żadnej poezji. Po prostu śmierć,

nic później, żadnego przedtem ani potem, żadnych złych
wyborów, żadnego *Kochanie* –

– oddać Ci twoje złe wybory, żebyś źle wybrała jeszcze
raz?

Cezary Żarna

Nie przemawiają do mnie

zwyczajne, ludzkie sprawy, opuszczane stare
mieszkania, odrywająca

się od języka
czułość, subtelność znikania, nieodparty głód
i krew, co zalewa usta. Konające w ramionach

półdzikie zwierzę.

Magdalena Kalinowska

przemijania

teraz pomyśli o śmierci
patrzac na krwisty kolor
w koronach drzew
tam, na czubkach,

krzew

mówią
do widzenia

budowlańcom, kładącym kostkę
przy głównej ulicy w pierwsze dni
października, nocie mroźnej i wciąż

zadziwia się, że drzewa, jak ludzie
najpiękniejsze na chwilę przed śmiercią

Uroczystość podniosła

Nad uśpioną, grudniową ulicą na obrzeżach szarego przedmieścia, niedużego portowego miasta, zalegała cisza. Spokój, rozlewając się ciepłym strumieniem bezpieczeństwa, wypełniał każdy zaułek, szczelinę wysokich, dostojnych kamienic o niegdyś wspaniałych secesyjnych fasadach i zwykłych parterowych ruin. Z oddali dało się jedynie słyszeć przytłumiony odgłos przewracanego śmietnika. Jeszcze tylko pies – przybłąda przebiegł chodnikiem, goniąc oszalałego ze strachu kota. Lecz było to drobne zakłócenie, które nie mogło zburzyć tej niepowtarzalnej atmosfery, incydent zniknął za rogiem tak szybko, jak się pojawił. Już po chwili błogi spokój ponownie objął ramionami walące się domy, tu i ówdzie stojące pojazdy, by znów przytulić chodnik dziurawy jak jezdnia.

Uważny obserwator mógł jednak spostrzec, że opustoszała na pozór ulica nie jest, tak do końca pusta. Na murach bowiem pojawiły się cienie. Pomimo, że na ulicy nie było żywego ducha, cienie wyraźnie zaznaczyły swoją obecność, kładąc się długą smugą na fasadach starych domów. Przesuwały się szybko, w równych mniej więcej odległościach, raz po raz oglądając nerwowo za siebie. Zatrzymywały się przed wejściem prowadzącym na podwórze niepozornego, na poły zrujnowanego domu, by tam wykonując jakieś, za każdym razem inne, ruchy dłońmi zniknąć w środku. Wyglądały jak ścigani potępieńcy szukający zbawienia. Ale to nie byli potępieńcy, a ta ruina bramy nie była jednym z korytarzy wiodących do nieba. To byli więzieni i przetrzymywani przez totalitarny reżym, schodzili się na coroczne spotkanie, by powspominać i uczcić rocznicę. Zanim jednak znaleźli się w środku kiepsko oświetlonej piwnicy, każdy cień zakładał na głowę inny cień, mniejszy, przygotowaną zawczasu opończę. Wykonana koniecznie z czarnego materiału, miała wycięte otwory jedynie na oczy i usta. Funkcjonowała jako niezbędny zabieg, stosowany przy każdym spotkaniu. Siły Bezpieczeństwa bowiem mogły czaić się wszędzie, a ten prosty element miał być skutecznym przed

nimi zabezpieczeniem, chronić od ukrytej kamery, przypadkowego rozpoznania oraz podsłuchu. Dopiero wówczas, po wystukaniu we framugę odpowiedniej, za każdym razem innej, ilości uderzeń, można było zostać wpuszczonym do wewnątrz. Gdy ciężkie, dębowe drzwi zamknęły się za ostatnim z przybyłych, zaryglowano je metalową sztabą i dodatkowo podparto belkami. Wtedy, spośród niczym nie różniących się postaci, oderwał się jakiś człowiek. To przewodniczący zebrania, w ten sposób właśnie zwodził Tajne Służby, a fakt, że prowadził już czwarte tego typu spotkanie świadczył jedynie, iż metoda ta była nader skuteczna. Szedł wolno popychając przed sobą wózek i jakiegoś nadszarpniętego wiekiem starca. Zgodnie z protokołem zebrania, aby ograniczyć liczbę narażających się do minimum, tylko przewodniczącemu przysługiwało prawo zabierania głosu. Ba, odzywania się w ogóle! On więc, był najbardziej narażony ze wszystkich na represje i ewentualne uwięzienie, czym zyskiwał sobie zrozumiały szacunek i zazdrość.

– Zebraliśmy się tu – zaczął podniosło – by jak co roku uczcić rocznicę i powspominać. Aby postawą swoją zmanifestować niezłomną niezgodę naszą i upór, swą stałość w drodze do celu. W dalszej walce. Nie mówmy ni słowa, by nie dać powodu do denuncjacji kapusiom i prowokatorom, którzy na pewno są wśród nas.

Spojrzał badawczo na zebranych, a oni odpowiedzieli mu tym samym przenikliwym wzrokiem.

– Zgodnie z tradycją – ciągnął dalej po chwili – na dzisiejszą Uroczystość pozwoliłem zaprosić sobie Bohatera, którym dziś jest ten oto Starzec! Był On hen, hen na Dalekiej Północy...

Przerwał i spojrzał na nich wielkimi oczami. Oni wielkimi oczami spojrzeli na starca. A starzec na nich oczami wielkimi jak ich wszystkie oczy.

– I myślę – kontynuował – że w pełni zasłużył na to, abyśmy nazwali Go naszym Dziadkiem.

Z plastikowej torby, zawieszanej

na rączce wózka, wyciągnął dodatkową opończę i uniósł ją wysoko do góry, tak by wszyscy mogli zobaczyć, mówiąc:

– Niech to będzie symbolem jedności Nas, walczących z reżimem Teraz, z Tymi co Kiedyś... a nawet Dawniej! Nicią łączącą pokolenia Bojowników, tak odległych sobie, a jednocześnie tak sobie bliskich. Symbolem, który przekażemy dzieciom, one przekażą swoim dzieciom, a dzieci ich dzieci przekażą swoim dzieciom. Amen. Blade światło dwudziestowoltowej żarówki tliło się za ich plecami, rzucając mdłe smugi pojedynczych promieni na twarz mówcy, co czyniło jego postać jeszcze wspanialszą i wzniosłą bardziej. Znalazło to swój oddźwięk w zgrzytaniu zębów tylnych rzędów słuchaczy. Skończył. Przeciągnął majestatycznie zwitkiem czarnego płótna przed Dziadkiem, który bynajmniej nie sprawiał wrażenia Bohatera, lecz ciężko wystraszonego staruszka. Próbował wyjaśniać, protestując, że to pomyłka jest. Bo on i owszem był daleko na Północy, ale dobrowolnie, bo to była nie Ta Daleka Północ, jeno Alaska. Prosił jeszcze, żeby mu życie darować... Że on ma twardą walutę, co to ją przywiózł z Dalekiej Północy... On zapłaci... Ale przewodniczący szybko założył mu opończę tyłem do przodu i był spokojny. Ponieważ staruszek na tyle już zniedołężniał, by móc ściągnąć samemu ciasny kaptur, w piwnicy ponownie zapanaowała podniosła cisza, przzerwana tylko krótką komendą: „Spotkanie uważam za otwarte !”

Pierwszy rozpoczął człowiek w okularach na drewnianym stołku, z opończą przekreśloną na bakier, trzymający się nieco z boku. Uniósł pierś wysoko i westchnął. Zawtórował mu sąsiad z naprzeciwka. Komuś innemu także wyrwało się westchnienie. I komuś jeszcze, i jeszcze... Ktoś znowu westchnął. Z początku krótkimi wdechami, nieśmiało, by wkrótce ciasna piwnica na skraju miasta rozbrzmiewała chórem westchnień i oddechów powtarzanych z melancholijną nostalgią, co parę chwil. I było pięknie.

Jednakże człowiekowi w okularach nie uszło uwagi, że kolejni jego następcy wykonywali to jakby trochę mocniej. Wyżej unosili piersi, silniej akcentując każdy wdech i wydech. Ponownie więc nabrał powietrza i westchnął, ale już głębiej. Zawtórował mu sąsiad z naprzeciwka, oraz trzech mężczyzn pod ścianą – brodacze, o czym świadczyły nierówności w dolnej części ich opończ. Zrobili to lepiej. Okularnik znowu wziął haust tlenu. Uniósłszy chudy tors jeszcze wyżej, na tyle, na ile mu tchu starczało, powoli zaczął go opuszczać wydając charakterystyczny świst uchodzącego powietrza. Tak jak poprzednio odpowiedział mu sąsiad z naprzeciwka, oraz jeden już tylko brodacze.

Okularnik ponownie się nadał, na ile go było stać, powiększając wdechem wątlą klatkę piersiową intelektualisty do atletycznego prawzoru człowieka kopalnego z Cro Magnon. Wyglądało na to, że wessał w siebie powietrza najmniej z dwóch metrów wokoło. Kosztować go to musiało nie lada wysiłek. Świadczyła o tym barwna smuga, która pojawiła się w szklach jego okularów. Znać, że nabrał kolorów. Na-

SKLEP TANECZNY BYDGOSZCZ



pon - pt: 12:00 - 18:00
sobota: 12:00 - 15:00
niedziela: 12:00 - 14:00

e-mail: xsusanx@wp.pl

telefon: 504 550 547

ul. Śniadeckich 47, Bydgoszcz

Ponad 10 lat z Wami!

stępnie powoli, bez pośpiechu wypuszczał nagromadzone powietrze, tak jakby chciał skończyć w przyszłym tygodniu.

Brodacz przy ścianie nie dał już o sobie znać. Jednakże sąsiad z naprzeciwka bez większego wysiłku wykonał to samo i, jak się zdawało, może nawet trochę lepiej... Najwyraźniej nie chciał dać za wygraną. Człowiek w okularach rzucił w jego stronę nienawistne spojrzenie. Demonstracyjnie założył nogę na nogę i nabrął powietrza, unosząc pierś wysoko. Tak wysoko, że szkła okularów mieniły mu się wszystkimi kolorami tęczy. Potem uniósł jeszcze wyżej i jeszcze... Wydał krótkie tchnienie i zwał się z drewnianego stołka na ziemię. Natychmiast dwie rosłe postacie wzięły go za ręce i nogi i wyniosły do bocznej komórki, pod kran. Ostrożnie. Bardzo uważnie, by nie namacać sobie wzajem linii papilarnych dłoni oraz stóp. Zupełnie niepotrzebnie. Ani on kogoś, ani jego ktoś nie mógłby już wsypać. Nigdy.

Zebrani uczcili jego pamięć jednym długim westchnieniem, zamykając tym samym raz na zawsze gęby wszystkim, którzy mówili, że nie ma czego czcić, ani wspominać.

Najdłuższym oddechem, w tej ostatniej posłudze, odznaczył się sąsiad z naprzeciwka Umęczonego. Westchnął głęboko, całą objętością swego olbrzymiego, niemal kulturystycznego torsu, z żalem spoglądając na pusty stołek naprzeciw, jakby mu było czegoś brak...

Po minucie każdy wrócił do własnego westchnienia, w którym zawarł całą swoją, tęsknotę i protest. Wdech i wydech. Za siebie i za tych, co nie mogli. I znów w ciasnej piwnicy na przedmieściu rozbrzmiewał chór oddechów i westchnień, powtarzanych z melancholijną nostalgią co parę chwil. Z jedności tej wyłamywał się tylko młodzieniec w dżinsach. Ze łzami w oczach i kompasem w ręku nie wiedzieć czemu zawodził w kierunku, gdzie niedawno zaszło słońce żałosne... „Ech!, ...ech!” A w dodatku pociągał jeszcze nosem.

Co pewien czas zebrani milkli. Zapadała wówczas podniosła cisza, podczas której wszyscy patrzyli na dal. Można było wtedy usłyszeć ciche jęki pochlipującego Dziadka, co wszyscy odbierali ze zrozumiałym współczuciem i uznaniem.

Nad budzącą się ze snu grudniową ulicą, na skraju portowego miasta, zalegała jeszcze noc. Lecz nieśmiałe smugi nadchodzącego świtu dawały sygnał, że nowy dzień i nowe zagrożenia są tuż, tuż. Pomimo że ulica wyglądała na wymarłą, po murach starych domów, jak poprzednio, przemykały cienie. Pojawiały się przy wejściu prowadzącym na zaniedbane podwórze jednej z kamienic, oglądały trwożnie na boki, a następnie posuwały w równych mniej więcej odległościach w przeciwnych teraz kierunkach. A wszystko to w atmosferze absolutnej ciszy i niepokoju. Tylko pies–przybłęda, wybiegając z bramy, zawył przeraźliwie i zaczął uciekać przed kotem, którego tuż przed chwilą sam był prześladowcą. To na widok Dziadka, któremu zapomniano ściągnąć opończę, i o którym zapomniano w ogóle. ❖

Andrzej Bogucki

Dr Stefan Pastuszewski Honorowym Obywatelem Bydgoszczy!

Dr Stefan Pastuszewski Honorowym Obywatelem Bydgoszczy! 10 września 2026 roku odbyła się wyjątkowa i głęboko poruszająca uroczystość. Przewodnicząca Rady Miasta Monika Matowska uroczystie odczytała akt uchwały z 2 lipca 2026 roku, a Prezydent Rafał Bruski złożył laureatowi najserdeczniejsze życzenia, wręczając dokumenty historyczne oraz replikę portretu. Ze względu na trwającą rehabilitację dr. Pastuszewskiego, to kameralne spotkanie odbyło się w centrum medycznym „Atma”. Wybitnemu bydgoszczaninowi towarzyszyli najbliżsi – żona Dorota i córka Kinga oraz siostra Maria Pastuszewska z mężem. Podczas wydarzenia dr Stefan Pastuszewski skierował szczególne podziękowania do Andrzeja Adamskiego, głównego koordynatora starań o nadanie tego wyróżnienia, który skutecznie zjednoczył wokół tej inicjatywy wiele środowisk i osób prywatnych. Inicjatorem starań był Dom Bydgoski Archikonfraterni Literackiej. W tym miejscu należą się ogromne podziękowania bydgoskim radnym i Radzie Miasta Bydgoszczy, na czele z Panią Moniką Matowską oraz Urzędowi Miasta Bydgoszczy na czele Panem Rafałem Bruskim Prezydentem Bydgoszczy. W uroczystości wzięła udział delegacja radnych i urzędników bydgoskiego Ratusza, przybyli pisarze oraz przedstawiciele zaprzyjaźnionych organizacji i redakcji.

Współtwórcy i delegacja redakcji miesięcznika literackiego „Akant” oraz redakcji „Świat Inflant”, w tym inżynier Roman Sidorkiewicz, oraz Henryk Kałużny. Międzynarodowe Bractwo Inflanckie reprezentowali Henryk Tokarz, Tadeusz Topczewski oraz Józef Palewicz. Henryk Tokarz piastujący w zastępstwie funkcję Wielkiego Mistrza Bractwa Inflanckiego, skierował braterski adres do Stefana Pastuszewskiego w imieniu wszystkich braci. Ponadto przybyli bracia inflanccy Leszek Droszcz, Henryk Matuszak, Michał Krzemkowski. Sokolstwo Polskie

oficjalnie reprezentowali Andrzej Bogucki oraz Anna Stelmach. Z kolei kierownictwo centrum „Atma” wręczyło specjalne podziękowanie Prezydentowi Rafałowi Bruskiemu za przybycie i tak doskonale przygotowaną uroczystość. Wyjątkowy portret w bydgoskim



Ratuszu, czyli oryginał oficjalnego portretu nowego Honorowego Obywatela namalował znany i ceniony artysta malarz Ignacy Bulla. Dzieło to zawisnie na honorowym miejscu w sali obrad Rady Miasta w bydgoskim Ratuszu, dołączając do tamtejszej galerii portretów wybitnych osobistości zasłużonych dla naszego miasta.

Dr Stefan Pastuszewski to postać pomnikowa dla naszego miasta, która całe swoje życie zawodowe, twórcze i społeczne związała z Bydgoszczą. Samorządowcem i politykiem, wieloletnim radnym Bydgoszczy (1990–2002 oraz 2005–2018), był wiceprezydent miasta oraz poseł na Sejm I kadencji. Opozycjonista, aktywny działacz opozycji antykomunistycznej w czasach PRL, internowany w stanie wojennym. Działacz NSZZ „Solidarność”. Przewodniczący i Wielki Mistrz międzynarodowego Bractwa Inflanckiego. Członek honorowy Dzielnic Kujawsko-Pomorskiej Związku Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” w Polsce. Człowiek kultury, pisarz, poeta, krytyk i dziennikarz, doktor nauk humanistycznych oraz współtwórca miesięcznika literackiego „Akant”. Społecznik o wielkim sercu, inicjator pomocy Polakom na Wschodzie oraz zaangażowany obrońca i opiekun uchodźców. Autor niezliczonych artykułów naukowych oraz książek. Za swoje ogromne zasługi został odznaczony m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Wolności i Solidarności. Naszemu Przyjacielowi Stefanowi składamy najgłębsze wyrazy szacunku, gratulacje oraz życzenia szybkiego powrotu do pełni sił!



Zdjęcia autora tekstu. ❖

Norbert Budzyński

Witaj w moim mięsie

Geometryczne niebo, progi, zawodzenie gitar
linie maszerują do mózgu prosto jak strzelił
Neony żył, ścięga sprężyste na godzinę, dwie...
(dobre i to)
i skóra nie tak zimna w dotyku
Trzeba się śpieszyć

Och, jak dobrze jest dotknąć kości, policzków
nabrać oddechu, ułożyć kilka zdań, zanim
wydmy zaczął wsypywać się w usta, płuca, krew

Szkło w mięsie i odliczanie w skowyt

Obwód zamknięty

Role playing games (RPG)

*Panu Bogu swemu będziesz oddawał pokłon
i tylko jemu będziesz służył.*
- Mateusz 4:10 -

*Bo nie odrzuci Pan ludu swego,
a dziedzictwa swego nie opuści.*
- Psalm 94:14 -

Oto byliśmy; oczy sferyczne, usta zawrócone
ścięga laminowane
Oto jesteśmy; mózgi podpięte, pamięć zablokowana
worek pokutny
Oto będziemy; dopływy żył, wiązki kości
gigawaty krzywd

Nowy Testament; kadzidło i mirra
ulepszony marketing
Ruszajcie i sprzedawajcie
kolejny mit o Syzyfie

Atrybuty rozdane, instrukcje skrzytne
przysiężenia odnowione
miasta oblegane, granice przesunięte
Tamci mają teraz mniej, ale to nic
liczy się widowisko

Ej ty, zawieszony w czerwieni
będący pod *postacią*, kimkolwiek jesteś
widzę twoje dłonie przebite
i swój w nich grzech nieusuwalny

[Jeśli już]

muszą mnie odratować
niech darują sobie kazania
Obejdzie się bez szpitali
statystyk, prognoz na przyszłość
Ile można podrygiwać, kłaniać się
chodzić

Za dużo wszystkiego; gładkich nadgarstków
pastylek od milczenia, zasypiania na wznak

Może gdybym miał solidniejsze buty
przyszedłbym do ciebie, przyśnił
A tak, pozostaje mi wierzyć
że nigdy się nie urodziłaś

Akwarium

Pielęgnacja, pielęgnacja
zapachy męskie, zapachy damskie
karty podarunkowe, ruchome schody
brak przerw w dostawie ciał

piętra wgrywają się płynnie

Actus purus

Przeżył mnóstwo ciekawych przygód
nie powinno zatem dziwić, że chce się nimi podzielić
założył nawet folwark, zatrudnił ludzi
by mogli usłyszeć choć namiastkę tego
co mogliby mieć, gdyby tylko
byli bardziej rzutcy
albo nieuzależnieni od alkoholu

Czasem zstępuje z niebios
udziela precyzyjnych instrukcji co do rozkładu dnia
a potem chodzi po wodzie
(jak jeden taki przed nim)
błogosławiąc mieszkańcom prywatnego raj

Innym razem przyjmuje akolitów
zainteresowanych trudną sztuką liczenia
od dziesięciu do jednego
Uczy ich jak żonglować cudzym bólem
w sposób, który miałby wszelkie znamiona terapii
a gdy uzna, że postępy są zadowalające
i wiedzą już jak sprawić, by powieki stawały się
cięższe i cięższe z każdą minutą
namaszcza ich i wypuszcza w świat
by kosili forszę na tym, co nie chce od człowieka odpaść

W międzyczasie, tu na dole, bezzębny mężczyzna
ze zwykłą mu życzliwością, morduje krety karbidem
gasi papierosa i wkłada rękę w rozkopany dół
wyciąga po kilka naraz, jeszcze dymią

Psy leżą w cieniu, leniwie podnoszą wielkie łby
ale w tym upale nawet one nie są zainteresowane śmiercią
Dwanaście, mówi mężczyzna, tyle co stacji chrystusowych
zbiera truchła i idzie zbijać karmniki dla ptaków
dziesięć złotych za godzinę pracy
ale cieszy się, że ma dach nad głową i rower
zawsze to wygodniej do wsi

Szczegóły

Łąka. Suche badyle jak okiem sięgnąć
Sarny. Trzy, potem pięć i pięć
Żelastwo w strumieniu

Komin dymi, buty zwychadzane
gwiazdy wysypało z popielnika

projekcje wykarmione
wzrok oswojony
myśli wycofane
skrypt zapisany

Książd niewiele miał do powiedzenia na mój temat
nawet imię czytał z kartki
Ale ławki nowe, a dach ocynkowany

Krzysztof Gołębiewski

Trzy krzesła i gazowana



Dramat w jednym akcie

OSOBY:

KAMIL (30 lat) – Poeta. Nosi za dużą marynarkę i okulary, które ciągle poprawia. W ręku trzyma egzemplarz swojego tomiku „Antycypacja pustki”.

PANI BOŻENA (50 lat) – Dyrektorka Domu Kultury. Energiczna w sposób wymuszony, nosi apaszkę w krzykliwe wzory. W ręku trzyma segregator z napisem „KULTURA+ 2026”.

LENA (25 lat) – Instapoetka. Wygląda jak z reklamy drogiego kremu. Ma na sobie beżowy trenecz i telefon, który wydaje się być przedłużeniem jej dłoni.

MIEJSCE AKCJI

Sala widowiskowa w Domu Kultury w małym mieście. Na środku sceny stolik z nieśmiertelnym zielonym obrusem. Na nim dwa mikrofony, dzbanek z wodą (widać bąbelki) i trzy puste szklanki. W tle rząd pustych, składanych krzeseł. Zegar na ścianie wskazuje 17:15.

SCENA I (i ostatnia)

(Kamil siedzi przy stoliku, nerwowo stuka palcami w blat. Pani Bożena zagląda przez kulisy, potem wychodzi na środek, patrząc na pustą widownię)

PANI BOŻENA

Piętnaście po. Kamile, ja nie chcę nic mówić, ale o siedemnastej mieliśmy mieć „wysoką frekwencję”. Tak napisałam we wniosku. „Wzrost uczestnictwa w kulturze wyższej o dwadzieścia procent”.

KAMIL

Może deszcz? Ludzie w tym mieście boją się metafor, gdy pada deszcz. Zresztą, to nie jest poezja dla każdego. Jak mówiłem w wywiadzie po nominacji do Silesiusa... wspominałem pani o Silesiusie?

PANI BOŻENA

(Ignorując go, sprawdza telefon) Wspominałeś. Osiem razy. Słuchaj, jeśli nikt nie przyjdzie, będę musiała wpisać w raport „spotkanie zamknięte o charakterze warsztatowym”. Ale potrzebuję zdjęć. Przynajmniej trzech osób na widowni. Może zawołam panią Halinkę z portierni i syna pana konserwatora?

KAMIL

(Z goryczą) Mój tomik ma nakład trzystu egzemplarzy. To jest elitarny byt. Nie będę czytał o ontologii bytu jakiejś pani Halince, która myśli, że rym to szczyt ewolucji języka.

PANI BOŻENA

(Nalewa wodę do szklanki, woda przyska na jej rękaw) Och, do diabła z tą gazowaną! Mówiłam Grażynce, żeby kupiła niegazowaną, bo mikrofony zbierają bekanie. Kamil, bądź realistą. Grant z Ministerstwa nie pyta o ontologię, tylko o numery PESEL uczestników.

(Nagle z głębi sali dobiega stukot obcasów. Wchodzi LENA. Jest rozświetlona, dostownie i w przenośni – bije od niej blask ekranu telefonu)

LENA

Cześć! Strasznie tu trudno trafić. Google Maps pokazuje, że to „Kino Apollo”, a tu... no, klimat bardzo vintage.

KAMIL

(Sztywnieje) Lena? Co ty tu robisz? Przecież miałaś mieć sesję w Berlinie.

LENA

(Podchodzi do sceny, robi szybkie zdjęcie pustych

krzeseł) Och, sesja przełożona. Przejeżdżałam obok, zobaczyłam na Facebooku, że masz tu „wieczór autorski”. Pomyślałam: support your friends. Wrzuciłam info na Story, że tu jestem.

PANI BOŻENA

(Ożywia się) Story? Ma pani dużo obserwujących?

LENA Jakies dwieście tysięcy. Zależy od dnia. *(Pani Bożena gwałtownie dosuwa trzecie krzesło do stolika).*

PANI BOŻENA

Zapraszamy! Pani Bożena, dyrektorka. Skoro pani tu jest, to zrobimy panel! „Poezja w czasach cyfrowych”. To brzmi jak coś, co przejdzie w raporcie końcowym jako „innowacja”.

KAMIL

Bożeno, to jest żart. Lena pisze wiersze o tym, że kawa jest zimna jak serce jej byłego. To nie jest poezja, to jest... status na komunikatorze.

LENA

(Siada lekko na krzesło, uśmiecha się promiennie) Kamil, ty zawsze taki spięty. Ludzie kochają moje „statusy”. Moja ostatnia książka „Smutek w latte” sprzedała się w trzydziestu tysiącach w tydzień. A twój... jak mu tam? „Anty-coś-tam”?

KAMIL

„Antycypacja pustki”. To jest traktat o niemożliwości porozumienia.

LENA

No i patrz – nikt nie przyszedł, więc porozumienia faktycznie nie ma. Tytuł trafiony w dziesiątkę!

(Pani Bożena staje za nimi z aparatem fotograficznym).

PANI BOŻENA

Uśmiech! Proszę chwycić szklanki z wodą. Udamy ożywioną dyskusję o kondycji narodu!

KAMIL

(Podnosi szklankę, patrzy na bąbelki) Ta woda jest jak nasze życie kulturalne, Bożeno. Dużo gazu, dużo szumu, a po pięciu minutach zostaje tylko mdły płyn w brudnej szklance.

LENA

(Odkłada telefon na moment) Oj, Kamil, przestań już z tym cierpiętnictwem. Poezja nie umiera, tylko się transformuje. Chociaż fakt, w branży jest sporo... powiedzmy, specyficznych przypadków. Widziałeś ten nowy tomik Błażeja? Tego z Krakowa?

KAMIL

(Ożywia się, uśmiecha złośliwie) Błażej? Ten, co pisze haiku o krojeniu awokado? Widziałem. Rymuje „pestka” z „bez kłamstw”. Tragedia. A dostał na to stypendium marszałka!

PANI BOŻENA

(Mruży oczy) A, pan Błażej! Znamy, znamy! Był u nas na festiwalu „Słowo i Burak”. Wypił cały zapas wina z cateringu dla zespołu folklorystycznego i zasnął w kostiumie na gorsetach krakowskich. Nawet go nie budziłam, bo wpisałam go w projekt jako „żywą instalację artystyczną”.

LENA

(Wybuch śmiechem) Serio?! Typowe! Mogłabym opowiadać takie historie godzinami...

KAMIL

(Pije wodę, krztusi się gazem). Widzicie? To dlatego nikt nas nie czyta. Środowisko zamknęło się w bańce. Obgadujemy się na bankietach,

a potem płacemy, że nakłady spadają. Poezja jest w zaniku, bo sami ją udusiśmy z nudów.

PANI BOŻENA

Przepraszam, że wam przerwę te egzystencjalne dylematy, ale wiecie, dlaczego ludzie nie czytają poezji? Z punktu widzenia dyrektora prowincjonalnej placówki powiem wam brutalną prawdę. U mnie w bibliotece wypożyczają tylko kryminały, gdzie mordercą jest lokalny rzeźnik, albo romanse z lekarzami na okładce. Życie ich kopie w tyłek od poniedziałku do piątku, więc jak przychodzą do domu, nie chcą czytać o „ontologii mchu”. Chcą, żeby główny bohater znalazł trupa w kompoście. Może być, Kamil, zabił kogoś w tej swojej „Antycypacji”?

KAMIL

Zabiłem. Swoją duszę. Ale tego nikt nie zauważył.

LENA

(Robi selfie z Kamilem, ignorując jego komentarz) Oznaczam cię. Może wpadnie ci paru followersów. Napiszę: „Z wielkim poetą w miejscu, gdzie czas się zatrzymał”. To takie... aesthetic.

PANI BOŻENA

Genialnie! „Czas się zatrzymał” - to podciągniemy pod promocję regionu i dziedzictwo lokalne. Kamil, czytaj coś. Szybko. Muszę nagrać fragment do archiwum.

KAMIL

(Wstaje, otwiera tomik na losowej stronie, mówi do pustych krzeseł) „Struktura niczego nie jest gładka. Jest porowata jak sumienie urzędnika w czwartkowe popołudnie...”

LENA

(Przerywa mu, patrząc w telefon) O mój Boże! Trzysta osób właśnie pyta w komentarzach, gdzie można kupić twoją marynarkę. Mówiłam ci, Kamil, że ten oversize to hit!

PANI BOŻENA

(Z zachwytem) Trzysta osób? To więcej niż mieszka w bloku obok! Zapisuję: „Zasięg wydarzenia: globalny”.

KAMIL

(Odpuszcza, siada ciężko) Dajcie mi tej gazowanej. Chcę poczuć, jak coś mnie gryzie w gardło.

(Pani Bożena nalewa mu wody. Wszyscy troje siedzą przy zielonym obrusie. Lena klika w telefon, Pani Bożena liczy coś w segregatorze, Kamil patrzy w sufit).

KAMIL

Wiesz co jest najgorsze, Lena? Że ja ich wszystkich nienawidzę. Tych trzystu osób, które chcą mojej marynarki, a nie mojego bólu.

LENA

Ból się nie klika, Kamil. Klika się „rozczarowanie w ładnym świetle”. Naucz się tego, a może kiedyś zapełnisz choć dwa z tych krzeseł.

PANI BOŻENA

Dobra, zdjęcia mam, wskaźniki odhaczane. Za dziesięć minut przychodzi tu grupa „Aktywny Senior” na zumbę, więc musimy zwinąć stolik.

KAMIL

(Cicho) Przynajmniej oni będą się ruszać. My tylko bąbelkujemy.

(Zegar wybija 17:30. Światło na scenie lekko przygasa. Słychać z oddali energiczną muzykę do zumby...)

Andrzej Walter

Kolejka za Wierzbickim



Właściwie ów tekst powinienem zatytułować „W kolejce po rozum”, ale to akurat jedna i jedyna z kolejek, która z pewnością trafiła dziś do lamusa. Kolejki mamy dziś bowiem przeróżne, ale jedynie rozum mało komu jest potrzebny.

Dawno już nie czytałem wierszy, które tak mocno by wstrząsnęły moją wrażliwością poetycko-językową. Wiedziałem, że Adam Wierzbicki to znakomity młody polski poeta, wiedziałem, że to arcyciekawo i inspirujący twórca, tudzież i człowiek, że nowatorski, że indywidualny i że z własnym poetyckim polotem, językiem oraz przekazem, ale „Kolejki Polskie” przerosły moje stabilne, utarte wyobrażenia, przekroczyły Rubikon schematu i sztampy, wstrząsnęły wspomnieniami, diagnozami oraz jakąś utartą wizją PRL-u, czyli jednym słowem naszej młodości – durnej i chmurnej, której wykwyty towarzyszą nam do dziś zwłaszcza w ciągle żywych problemach i dylematach społecznych.

Świat się zmienił, mentalność i przywary społeczne pozostały jednak bez zmian. Głupota z arogancją święcą triumfy i w tej optyce „Kolejki Polskie” wraz z kompleksami, grzechami i plamami na sumieniach idą z nami dziarsko przez ten świat i Adam Wierzbicki uczynił coś (arcy) genialnego tymi swoimi tekstami: wskrzesił przeszłość, miętową i sentymentalną łącząc ją z tym, co oglądamy za oknem i z tym, czego oczekujemy po jutrze, a może nawet nie oczekujemy, bo „stara bida” pójdzie z nami, a mówiąc „stara bida” widzę naszą nędzę intelektualno-duchową i człowieczą.

„Kolejki Polskie” to wiwisekcja Polski jaką znam. Polski kontrastu, Polski wrzasków i krzyków, Polski prymitywnej głupoty i jednoczesnej buty małowiaściwego chama, który niczym znany literacki Dyzma został wpuszczony tu i tam i odwała popelinę swojego buraczanego mentalu. Jednak u Wierzbickiego to ledwie margines, to pewne socjologiczne tło, ledwo co zaanonsowane, czasami wręcz zamaskowane, ale jednak.

U Wierzbickiego więcej jest poezji. Sumy wrażliwości nad kiepskim losem biedniejszego, pochylenie się nad słabszym, wykluczonym, wyautowanym obywatelem X, efektem tej wzorcowej (ironicznie) transformacji guru ekonomii i układów. U Wierzbickiego jest liryka i subtelność zamiast krzyku i buntu. Bunt się ustatednił i Wierzbicki stworzył jedno z najważniejszych wierszy jakie w tym kraju napisano po roku 1989, po sławetnym 4 czerwca kiedy ponoć ... wygraliśmy (wolną Polskę?). Wolną (z nazwy), ale wciąż w kolejce po niezależność. Oto „Kolejki Polskie”. Bezbolesne, bezlustracyjne, bezwzględne.

Kolejka po przyszłość

*Kolejka po leki w szpitalu psychiatrycznym
oczekuje
zmian na lepsze dni nadchodzące. Zmniejsze-
nia dawki
psychotropowych witaminek. Marzy, że roz-
wiążą się jej*

*życiowe problemy i dolegliwości, choć zdaje
sobie sprawę,
że nie można już cofnąć czasu. Wierzy w
lepsze jutro, lepsze
jedzenie w szpitalu i lepszą służbę zdrowia.
Wyczekuje*

*wyjścia na terapię, spacer, przepustkę i
wytęsknioną
wolność.*

Nie jest tak źle, ale ta poezja ma nas sprowokować. Warto stać ciągle w kolejce po wytęsknioną wolność, po nieznosną lekkość bytu, po utracony czas. Warto dać się sprowokować Wierzbickiemu tymi „Kolejkami Polskimi”, bo to poezja bytu i myślenia, to poezja empatii i wiary i wreszcie poezja godności i ... Polski. Naszej Polski. Tej jaką znamy naprawdę, a nie tę z medialnego złudzenia czy reklamowych debilizmów.

Kolejka po frajerstwo

Dawidowi Z. i Sebastianowi K.

*Kolejka w przychodni szpitala wojskowego,
gdzie krew pobierają, cierpliwie czeka, by to,
co najcenniejsze, oddać
Ojczyźnie, jak robili to jej ojcowie, dziadko-
wie i ich antenaci,*

*co swą krew ocaloną za darmo oddawali
każdemu, kto z armią połączyć ich zechciał,
jak śpiewał ongiś
nieodżałowany bard Solidarności. I tylko
szkoda wielka,*

*że współcześni szwoleżerowie, podobnie jak
ich przodkowie spod Somosierry, swej cennej
krwi nie przelewają w obronie rodzin,*

tylko obcych interesów.

Nie wchodzimy w politykę. Polityka to brud. Polityka w Polsce to do tego jeszcze pochod chama, tego słynnego polskiego chama z Wesela zmieszanego z chamem ukształtowanym 45 latami PRL-u. Mieszanka efemerydalna i kabaretowa. Tu nie idzie jednak o politykę, tutaj ocieramy się o mentalność, o motywacje, o sumienia. O dekonstrukcję pewnych wartości, które były naszą narodową podstawą przetrwania i działania, a dziś szturmem feministycznych imperatywów tudzież współczesnych postępowych idei zostały te wartości przeniesione do zamrażarki dziejów. Rosną nam pokolenia wymoczkowanych, prymitywnych indywiduów,

słabeuszy i pustych wiedzowo monstrów skoncentrowanych li tylko na sobie i własnej przyjemności. Psychologiczne credo *rób sobie dobrze* stało się zasadą, religią, bogiem. Wyznacza więc ochoczo: zasady, trendy i ustala jedynie poprawne reguły gry. Ja, ja, ja, słyszę zewsząd, od młodych i starych, od wielkich i małych, od mądrych i głupich i dochodzę do wniosku, że całe to społeczeństwo toczy dziś jakąś śmiertelna nieuleczalna już choroba, jakiś nowotwór ponowoczesności, jakiś wręcz trąd zidiocenia w połączeniu z pączkującą stale ignorancją rodzącą arogancję i przerażającą w wydźwięku butę wobec bliźniego. Dotykamy i doświadczamy tego wszędzie i codziennie. Na każdym niemal kroku. Dzień po dniu. (Politycy są tutaj papierkiem lakmuseowym, pewnym wzorcem, czy odwzorowaniem nas samych – zwierciadłem społecznym)

Oto Polskie Kolejki – kolejki pełne czekania na Godota – kolejki pełne snów, opijanych tanim alkoholem, w kontraście do (z Kolejki po nieśmiałość)

patrząc na zagrzybiony sufit pamiętającej czasy Gierka stołówki. A w tym czasie, gdzieś w luksusowym apartamencie

nad Adriatykiem, opalony na złoto trzydziestolatek, patrząc w ekran monitora, liczy krociowe zyski, które przynoszą górnicze pensjonaty kupione za symboliczną złotówkę przez jego ojca

w czasach, gdy komuna upadała na cztery łapy.

Komuny już nie ma. My żyjemy. Żyliśmy w niej całe pokolenie. Teraz mamy postępowy turbo kapitalizm. Ustrój dla młodych, pięknych i bogatych.

Reszta won. I każdy z tych wymoczków chce się załapać do korytek. Nie każdemu się uda, nie każdy będzie miał dobrze ustawioną mamusię albo ustosunkowanego resortowego tatusia. Nie każdy był resortowym dzieciaczkiem. To się dzieje na naszych oczach i w świetle reflektorów, tyle, że nad przyczynowo skutkowym następstwem wydarzeń już mało kto się zastanawia, bowiem żyjemy w świecie prostych prawd i naiwnych emocji. Demiurdzy istnienia określili kto ma być na górze, a kto na dole.

Reszta to kolejki. Kolejki po sławę, kolejki po nagrodę, kolejki po gratyfikację. Oto kolejki polskie. Kolejki po prawo do istnienia. Kolejka po układy. Dziś szczerze mówiąc, po „Kolejkach Polskich” powinniśmy się ustawić ... w kolejce za Wierzbickim, może jakaś część Jego słów i nas ocali.

I staniemy też w ... Kolejce po pamiętkę:

Kolejka po wpis w tomiku lokalnego poety gdzieś w prowincjonalnej bibliotece udaje zainteresowanie jego życiem i twórczością oraz kulturą wysokich lotów. Zachwyca

się lotnością metafor i porównań. Wspom-

mina edukacji autora (polonistki), wspólne wakacje (kuzynostwo), to, że bratem niekiedy był wrednym (rodzeństwo), a synem niegrzecznym

i niepokornym i pomimo że do nauki się nie przykładął, zawsze przechodził z klasy do klasy z nagrodami (rodzice), ale popić i narozrabiać także potrafił (koledzy nie po piórze,

lecz od zadym i kielicha). Większość podpisanych egzemplarzy trafi nieprzeczytana na honorową półkę w domowych bibliotekach, gdzie po kilku latach zbierze się na nich gruba

warstwa kurzu.

I to już ostatnia nasza opisywana tutaj „kolejka”. Po warstwie kurzu nastąpi śmietnik, potem przemiał. Tyle będzie warta cała ta nasza poezja. Poezja kompletnie niepotrzebna współczesnemu społeczeństwu. Poezja niezrozumiała, zbyt trudna, poezja – coś staromodnego i straconego dla współczesnego człowieka. Poezja, którą się ruguje: ze szkół, z bibliotek, z wiadomości, z doniesień, z potrzeb, z jakiegokolwiek przestrzeni publicznej. Poezja zaczyna być dla mięczaków, a któż chciałby takim zostać? Najpierw z pisarza uczyniono efemerydę, a później z poezji uczyniono szrot. Amen.

Najsmutniejsze jest jeszcze to, że my, poeci, nie chcemy i nie potrafimy poezji bronić. Zamykamy się we własnych grupkach i enklawach, żremy ze sobą i podkładamy sobie nogi, zadawaliśmy się ersatzem pustych sal, w których czytamy wiersze dla innych poetów. (i o zgrozo chce nam się to czynić pomimo, że to takie żałosne). Publicznie, kiedy są z nami ludzie spoza środowiska – milczymy. Wtedy mało kto się odezwie, a zwłaszcza w obronie poezji. Wtedy nabieramy wody w usta, albo wygłaszamy wobec tych ludzi okrągłe formułki, gładkie wypowiedzi, aby nikomu nie zaszkodzić, aby nikogo nie urazić, aby nic się nie zmieniło. Ot, taki koniunkturalizm sytych, zwłaszcza, że jeden z drugim niczego nieczytający burmistrz czy wójt jak coś powiemy nie za bardzo, to nie da tych ochłapów na festiwal poezji. Koń by się uśmieł. Dlatego też ja rzę już niemal codziennie i oddalam się od tej: głupoty, hucpy i żenady. Idźcie dalej tą (swoją) drogą. Ustawcie się w kolejce po dotację na kulturę, na szmirę, na ułudę i ucieszcie kolegów zaproszeniem na popijawę za państwowe. Po niej powstaną może lepsze wiersze (oby). Odczytacie je sobie nawzajem, będzie orgazm, wydarzą się *Ogóry Literatury* i każdy grzecznie pójdzie do domu, a społeczeństwo jak zapagnie rozrywki to kupi sobie kryminał w Biedronie.

Sursum corda.

Pozostanie po nas kurz, przemiał i niebyt.

Ot, taka wizja losu dzisiejszego poety, który stanął kiedyś tam w kolejce po nieskończoność, która również przestała być dziś komukolwiek potrzebna. ♦

Anita Nowak

Kiedy zło pięknem bywa

Mimo że ona i cała jej świta porażają czernią, która ma uosabiać zło, jej ruchy i aktorstwo są tak zachwycające, iż w takiej czarownicy nie sposób się nie zakochać. Mimoza Koike jako Jej Wysokość Noc to najbardziej doskonała spośród wszystkich wspaniałych artystek, które piątego wieczoru zachwyciły publiczność XXXII BFO. Demoniczne piękno i groza połączone z iście piekielną siłą, porażały z jednej strony a nieprawdopodobna wręcz magia ruchów, obezwładniała zachwytem z drugiej. Najbardziej wstrząsająca jest scena na tle wyjątkowo pięknie skomponowanej w końcowym fragmencie przez Czajkowskiego muzyki, kiedy Czarny Łabędź oplakuje śmierć córki.

Ale ogromny zachwyt wywoływała też niebiańsko lekkim ruchem rąk a zwłaszcza nóg, czego nie spotyka się zbyt często na scenach innych teatrów w postaciach tych ptaków Lou Beyne jako Białe Łabędzie.

Choreografię do muzyki Piotra Czajkowskiego dla spektaklu baletowego LAC stworzył Jean Christophe Maillot, dyrektor artystyczny Les Ballets de Monte Carlo. W zespole, który przywiózł na festiwal ten spektakl perfekcją i urodą wykonania zdecydowanie dominowały kobiety. Spośród mężczyzn wyróżniał się tylko znając Matej Urban jako Król, dorównując umiejętnościami i charyzmą wspaniałej Mariannie Barabas, jako Królowej.

Zwiewnością i cudowną miękkością ruchów zachwycali też Katrin Schrader jako Zarozumiała, Romina Contreras, Fałszywa Obojętność i Portia Adams jako Pożeraczka.

Oryginalności spektaklowi przydaje tu łączenie tańca klasycznego ze współczesnym.

Libretto Jeana Rouauda i Jeana Christophe Maillota odbiega nieco od oryginału „Jeziora łabędziego”. Maillot tak ułożył choreografię, aby zasadniczy konflikt między dobrem i złem został przedstawiony poprzez dramat matczynej ambicji i miłości. Kiedy wznosi się kurtyna, na tylnej ścianie sceny oglądamy filmową projekcję prologu utrzymanego w klimacie stylu Cocteau, w którym młody Książę doznaje traumatycznego przeżycia, albowiem na terytorium bawiących się dzieci niespodziewanie pojawia się kobieta w czerni i porwya dziewczynkę, którą on jest zafascynowany.

Spektakl rozpoczyna scena balu, podczas którego dorosły już Książę nadal wspomina ukochaną przyjaciółkę z dzieciństwa. Tymczasem rodzice poszukują dla niego innej kandydatki na żonę. Znowu niespodziewanie, tym razem na dworze, pojawia się kobieta w czerni, która nadal więzi porwaną dziewczynkę, teraz wyrosłą już na ślicznego białego łabędzia, jednocześnie starając się podsunąć

Księżu swoją córkę- Czarnego Łabędzia, w którego w spektaklu ciekawie wciela się Lydia Wellington. Cała inscenizacja to walka między czernią i bielą, czyli dobrem i złem. Mnóstwo przepięknych scen; dramatycznych, pełnych napięcia, ale i komicznych; bohaterowie zmagają się między sobą o ziszczenie własnych pragnień i marzeń. Historia kończy się tragicznie. Czarny Łabędź ginie.

Ernest Pignon- Ernest stworzył tu bardzo prostą, symboliczną scenografię, która, co nie zawsze spotyka się na scenach operowych, idealnie sprzyja tancerzom, pozwalając też na choreograficzny rozmach.

Przepięknie kostiumy zakomponował dla tancerzy Philippe Guillotel, oryginalne, dostosowane do charakteru każdej z postaci, a jednocześnie w większości tancerzy budzące bardzo subtelne tylko skojarzenia z upierzeniem łabędzi. Momentami sprawiają one wrażenie lekka targanych przez emocje, to znów przez wiatr.

Najbardziej wstrząsająca jest scena finałowa, kiedy przepięknie układająca się tiulowa płachta niczym śmiertelny całun opada na umarłego łabędzia.

Tak malowniczego widowiska na pustej prawie scenie dawno nie oglądałam. ♦

Ewa Katarzyna Skorupska

Tancerka

Widziałam wtedy innych,
codziennie podążających w dal ulic,
patrzących na swoje zużyte buty,
albo gonących wzrokiem tramwaj,
i zdawało się,
że nad płaskimi dachami miasta
tylko ja dostrzegałam wschód słońca,
że jest bardzo piękny
Dzień spędzałam w parnej sali,
wracałam o zachodzie,
kiedy tłumy upijały się w knajpach,
nie mając celu takiego jak ja,
jeśli brać na poważnie pas balance
Tak, widywałam tylko zachody,
wolna, ponieważ czas
był muzyką
A teraz wszystko jest przemienione,
z tamtej samotności pozostało
spojrzenie - zamiast w lustrach,
szukające siebie w obrazach wokół,
wielkich jak scena Opery Paryskiej,
ale wśród dekoracji
jest niestety tylko pantomima
W tym milczeniu,
do którego nie wiedząc
zawsze należałam,
jest moja tragedia
I nawet nie wiem jaka ona jest,
bo nigdy wcześniej
nie żyłam

Wojciech Trzciński

Pieśń średniowieczna

Że bardziej mu obce zesze stulecie
Niż tysiąc lat temu
W zasupłanym jelicie czasu
Refluks iluminacji
Że sto lat temu niby samochody
Ale nieporadne jak zagłodzone kraby
O chitynowym szkielecie szprych
Że niby telefony ale oburęczne
Ucho głuchnie usta syczą
Że niby medycyna ale jeszcze eter
Ta kołysanka mgławic
I tak łatwo znieczulić za bardzo
Że niby wiedza jakże pozytywna
Pewna że duszę na elementy piasku rozłoży
A krzyk rewolucji sprowadzi raj na wszystkie głowy
Które nie zostały ścięte
Ale jeszcze wiara wciskana w rytuał i żebra kruchty
I tam ma pozostać
Już łatwiej mu pojąć tych innych zupełnie
W zbroi czy włosienicy
Tych którzy chcieli by myśl wyżej i strzeliście
Jak wstępująca gołębica
Nikt nie marzył o samochodach
I dwupłatowcu z pajęczyny tlenu no może Bacon
Mężczyźni nie sądzili że elektrycznie się kiedyś огоlą
Na razie tylko brzytwa Ockhama stanowiła granicę
Dla nadmiaru bytów i włosów
Król Ludwik Dziewiąty na kolanach mieszał zaprawę
Bo wierzył że tak przystoi władcy
A nie że w mediach dobrze będzie wyglądał z kielnią
Żyło się pomiędzy błotem a powrotem króla Artura
Miedzy złotą legendą a kacerską kosą
Ludzie nie oczekiwali wiele
Ot pójść na pielgrzymkę nie dostać trądu zobaczyć katedrę
Widzieć jak pyłki w powietrzu tańczą przed taflami witraży
Podziękować za zbiory jeśli były jakieś zbiory
Nie czekali na jakiś postęp
Jedynie na małe zbawienie
Jedynie na wielki koniec świata
I Kamelot sprawiedliwości
Niebo było słojem powietrza tam nad chmurą
Piekło w atramencie wulkanu
Przepalało się zło w sobie w turnieju
lub wędrując do zamorskich krain które ratować trzeba było
Tak wtedy ziemski cieciwa wydawała się
Poważna straszna radosna i ostateczna
Nie było reguł jak ma każdy krok słusznie wyglądać
W twardej zbroi tłukło się krótko dzikie i wolne serce
Niewątpliwie były to czasy
Sprzed korporacyjnej wieży Babel
Ludzkiej sumy kamiennej wiedzy
Przeliczanej na alchemię monet
Wiszącej na kołku politycznej puchy
Tak nowoczesnej że aż wiecznej

Norbert Budzyński

Recykling

Tunel, białe światło, render w chmurze
animacja płynna, grafika w 3D
agregaty na najwyższych obrotach

Chodź, powiemy ci co zrobiłeś nie tak
żebyś dał się namówić na kolejną powłokę

Bogusław Michalec

Jest

Jest, bez wątplenia, wysokość nieba
i bliskość deptanej ziemi
daną nam nauką. Cóż stąd,
niewiele udało się przyswoić,
niewiele wyprowadzić istotnych wywodów.

Próbowaliśmy,
tak nakazywała przyzwoitość.

Koniunkcje, koncepty,
zgrabne kontrapunkty,
wszystko na nic,
daremnie czynione starania.

Strzeliste wieże
jak wiotkie trawy
na brzegach rzek gwałtownych i groźnych.

Zręczne maksymy pocięte w paski
oddzielają stronicę ksiąg.

Na próżno spisywane,
na darmo spamiętywane.

A przecież chcieliśmy, nie brakowało zapachu,
dyskutujący, ożywieni,
z sową na wytrenowanym przedramieniu.

Jedna pociecha, że przed nami
wieczna tajemnica, cel,
przyczyna nieustannego ruchu.

Którzy po nas nastaną,
odgarną warstwę piasku,
odsłonią rytę w skale
potężne słowo: „jest”.

Waldemar Jagliński

Tam

tam gdzie skrzydła Aniołów niosą myśli Boga
tam gdzie Umysł wyraża każdą linię życia –

nie ma śladu upadku ani nędzy trwania
bo proch z prochu powstały do oka nie wpada

Bogusław Michalec

Teraz, gdy

Teraz, gdy dzbanek, co tak wprawnie
uwięził odbicie żarówki, pozostaje
samotny na tle czerni i nawet

jego towarzysza, zasłaniająca
drobnym nocnym owadom wlot
do wypełnionego słodyczą wnętrza,

opada po szklanym wzniesieniu,
lniana, postrzępiona na krańcach,
z ciemniejącym nadrukiem

jak dogasająca lawa,
tren sukni panny młodej
na ślubie przeszłego z teraźniejszym.

Andrzej Leonard Bogucki

Polska szkoła umiera i czeka na reanimację

Polska szkoła umiera i czeka na reanimację. Ale czy się doczeka? To nie jest czarnowidztwo, to bezwzględna moja diagnoza rzeczywistości. Biurokratyczne absurdy i prawne paragrafy skutecznie wybiły z rąk nauczycieli jakiegokolwiek narzędzia wychowawcze. Zrobiono z nich urzędników piszących raporty obronne przed roszczeniowymi rodzicami, zamiast pozwolić im uczyć. Efekt? Masowy exodus z zawodu. Jeśli natychmiast nie obudzimy się jako społeczeństwo i nie odetniemy tej biurokratycznej pętli od szyi polskiej oświaty, za chwilę publiczna edukacja stanie się fikcją. Czas na reanimację ucieka, a pacjent właśnie traci tętno. Polski system edukacji zmaga się z ogromnym kryzysem kadrowym. Przyczyny to nie tylko niskie zarobki, ale przede wszystkim przytłaczająca biurokracja, skomplikowane i nieżyciowe przepisy oraz ciągle zmiany programowe, które zniechęcają wykwalifikowanych pedagogów do pracy w zawodzie.

Skala problemu jest druzgocąca, a szkoły zmuszone są do łatania wakatów na wszelkie możliwe sposoby. Z braku wyboru dyrektorzy placówek złożyli niemal 50 tys. wniosków do kuratoriów o zgodę na zatrudnienie osób bez wymaganych uprawnień pedagogicznych. W województwie kujawsko-pomorskim odnotowano 555 wolnych etatów, co zmusza dyrektorów z okolic Bydgoszczy do sięgania po te same desperackie rozwiązania kadrowe. Do kryzysu kadrowego i wszechobecnej biurokracji dochodzi kolejny potężny problem, destrukcja pracy wychowawczej spowodowana roszczeniową postawą części rodziców. Nauczyciele zamiast na edukacji i budowaniu relacji z klasą, skupiają się na obronie przed zarzutami, co paraliżuje proces wychowawczy. Rodzice coraz częściej kwestionują każdą ocenę, uwagę czy decyzję dyscyplinarną nauczyciela bezpośrednio przy dziecku. Strach przed skargami do kuratorium sprawia, że pedagodzy unikają trudnych rozmów z uczniami, aby nie narazić się na zarzuty o „nękanie”. Nauczyciele muszą dokumentować każdy krok, rozmowę i zachowanie ucznia, tworząc setki stron notatek wyłącznie w celach procesowo-obronnych. Szkoła jest obarczana winą za wszelkie błędy wychowawcze, podczas gdy dom rodzinny odsuwa od siebie odpowiedzialność za zachowanie dziecka. Standardem staje się straszenie pedagogów prawnikami, sądami oraz Rzecznikiem Praw Dziecka za realizację podstawowych obowiązków statutowych szkoły.

Stała presja psychiczna ze strony roszczeniowych niektórych rodziców jest dziś wymieniana jako główny powód (obok zarobków) rezygnacji młodych nauczycieli z zawodu. Poczucie samotności i całkowitego braku realnego wsparcia ze strony dyrekcji, kuratoriów czy ministerstwa to jeden z największych dramatów polskiej oświaty. Przepisy, które teoretycznie mają chronić pedagogów, w rzeczywistości okazują się martwe. Choć prawo gwarantuje nauczycielom ochronę przysługującą funkcjonariuszom publicznym, w praktyce dyrektorzy rzadko

występują z urzędu w ich obronie. Nauczyciel musi walczyć w sądach sam. Przepisy zmuszają dyrektora do natychmiastowego zawieszenia nauczyciela, gdy pojawia się zarzut naruszenia dobra dziecka. Wystarczy niepoparte dowodami pomówienie, by z dnia na dzień stracić pracę i dobre imię. Rzecznicy dyscyplinarni masowo wszczynają postępowania na podstawie bepodstawnych skarg. Procedury te trwają miesiącami i niszczą psychicznie ludzi, zanim w ogóle zapadnie jakikolwiek wyrok. Jeśli uczeń ma złe wyniki – winny jest nauczyciel. Jeśli uczeń zachowuje się agresywnie – zawiódł nauczyciel. Jeśli rodzic jest niezadowolony – winę ponosi szkoła.

Zderzenie przepisów Karty Nauczyciela z zapisami dotyczącymi praw dziecka (często tożsamymi z Konwencją o prawach dziecka) stworzyło w polskich realiach systemowy pat. Zamiast harmonii, obie regulacje zaczęły być wykorzystywane jako narzędzia walki, co pogłębiło paraliż decyzyjny w szkołach. Konflikt tych dwóch dokumentów demoluje oświatę na kilku poziomach. Prawa dziecka są często nadinterpretowane przez uczniów i rodziców jako brak jakichkolwiek obowiązków i konsekwencji za złe zachowanie. Każda próba wyciągnięcia konsekwencji (np. uwaga, nakaz schowania telefonu) bywa natychmiast zgłaszana jako „naruszenie praw dziecka” lub „znęcanie psychiczne”. Karta Nauczyciela, zamiast chronić pedagoga, przez archaiczne i opresyjne przepisy dyscyplinarne stała się narzędziem łatwego niszczenia kariery na podstawie jednego donosu. Dyrektorzy, spętani przepisami Karty Nauczyciela przy próbach zwalniania niesolidnych pracowników, jednocześnie ulegają presji „praw dziecka” i dla świętego spokoju poświęcają dobrych nauczycieli. Statuty szkół stały się martwymi dokumentami, ponieważ każdy zapis o karach regulaminowych można łatwo podważyć w kuratorium jako niezgodny

z prawami dziecka. Nauczyciele, widząc jak system bezwzględnie egzekwuje prawa ucznia, a ignoruje prawa nauczyciela, wybierają bezpieczną bierność i zasadę „przetrwaj lekcie”. Brak zdecydowanych, systemowych działań ze strony państwa i społeczeństwa sprawia, że polska szkoła zmierza wprost ku katastrofie, z której nie podniesie się przez dekady. Konsekwencje braku natychmiastowego „przebudzenia” systemu są już widoczne i będą się tylko pogłębiać.

Ze szkół odchodzą pasjonaci, eksperci i młodzi, ambitni ludzie, którzy w sektorze prywatnym znajdują szacunek, spokój i godne zarobki. Do zawodu trafia coraz mniej osób, a braki kadrowe łąta się przypadkowymi pracownikami, co drastycznie obniża poziom nauczania naszych dzieci. Lekcje z przedmiotów ścisłych, takich jak fizyka, chemia, matematyka czy informatyka, już teraz stają się fikcją, bo specjaliści z tych branż omijają szkołę z daleka. Ci nauczyciele, którzy zostają w zawodzie z poczucia misji lub braku alternatyw, są wyczerpani psychicznie, co odbija się na ich zdrowiu i relacjach z uczniami. Bez dobrze opłacanych, chronionych przez państwo i szanowanych nauczycieli, kolejne pokolenia Polaków będą gorzej wykształcone, co uderzy w całą gospodarkę i przyszłość kraju. Działalność i roszczenia oświatowych związków zawodowych (takich jak Związek Nauczycielstwa Polskiego czy oświatowa NSZZ „Solidarność”) to kolejny, niezwykle istotny element układanki, który zdaniem wielu krytyków i ekspertów betonuje kryzys w polskim szkolnictwie. Choć związki deklarują walkę o prawa pracowników, ich bezkompromisowa postawa i obrona archaicznych przywilejów często obracają się przeciwko samej szkole, młodym nauczycielom i uczniom. Krytycy wskazują na konkretne mechanizmy, którymi związki zawodowe przyczyniają się do paraliżu systemu. Polskie społeczeństwo i rządzący muszą zrozumieć, że obrona nauczyciela przed biurokacją, nagonką i roszczeniami to nie jest walka o przywileje jednej grupy zawodowej. To walka o przyszłość polskich dzieci i przetrwanie publicznej edukacji. ♦

Stanisław Topaz

Bieszczady

Przy deptaku się mieści dolna stacja Płasza
w tajemniczej krainie dobrotliwych Czadów;
wpierw tamę i jezioro zobacz z lotu ptaka,
turkus tafla akwenu i zieleń Bieszczadów.

Z kolejki gondolowej turysto skorzystaj,
w krainie złego Biesa wstąp aż na szczyt wieży,
na górze Jawor znajdziesz docelową przystań,
tam taras widokowy twój wzrok hen rozszerzy.

Gdzie przestrzeń eksponuje z czterech stron naturę,
zrób selfie na skywalku w zachodnich promieniach;
lecz choćbyś oddał chwilę w najpiękniejszych rymach:

zielone połoniny, w dal płynącą chmurę,
to jeszcze nieuchwytnym zaskoczy cię ziemia
powabem w słońca blasku – taka jest Solina.

Nie ma wyjścia

Matka niby to przeglądała z zainteresowaniem jakieś kolorowe pisemko, ale Piotr doskonale wiedział, że ukradkiem go obserwuje, śledzi każdy jego ruch, analizuje, wyciąga wnioski i szykuje taktykę postępowania. Za chwilę pewnie coś powie, żeby przerwać pęczniejącą ciszę. To z pewnością będzie jakaś błahostka, ale na tyle absorbująca, żeby wymusić jego reakcję i przerwać choć na moment sekwencję czynności, która w jej oczach układała się w coś mgliście niepokojącego.

– Popatrz! Nawet nie wiem, kto to jest! – wykrzyknęła i podsunęła Piotrowi pod nos bardzo kolorowe zdjęcie dziewczyny o bezmyślnej twarzy.

– To ci wystawia jak najlepsze świadectwo. – powiedział nieco znużonym głosem i z powrotem zajął się polerowaniem trzewików.

– Dziurę zrobisz! – zaśmiała się, ale radości w tym śmiechu nie było. Raczej jakieś napięcie podszyte nutą irytacji.

– Nie zrobię.

Objęła wzrokiem całą zwałistą sylwetkę syna i przez moment zatrzymała oczy na jego delikatnie siwiejących skroniach.

– Wczorajem usmażę rybki, takie szprotecki jak lubisz, prosto z patelni, do tego bułeczka, już ją wyciągnęłam z folii, bo inaczej to jest jak flak, a ty lubisz chrupiącą skórę... Kupiłam tam, gdzie najlepsze, koło tej Celiny, fryzjerki...

– Nie będę dziś jadł kolacji. – powiedział bardziej szorstko, niż miał w zamiarze.

Przez chwilę w pokoju zapanowała cisza, jakby ktoś zarzucił na nich ciężką, brezentową plandekę. Piotr dalej czyścił buty, ale czuł narastający ucisk w gardle. Nie śmiał podnieść wzroku na matkę, bo wiedział, że jest urażona. Natychmiast trzeba było powiedzieć coś koncyliacyjnego, coś, co ją udobrucha i pozwoli mu wyjść z domu bez odczuwania wyrzutów sumienia.

– Muszę się z kimś spotkać, ale może po powrocie... – jego głos był już łagodniejszy.

– Ja się kładę o dziewiątej, zresztą nie można późno jeść.

– Wiem, wiem... To jutro?

– Znowu wyjdiesz. – matka ciągle się dąsała.

– Czasami trzeba.

– Ale przecież my zawsze jemy razem. – popatrzyła na niego z wyrzutem.

Odwrocił oczy.

– Nie zawsze. Jak wyjeżdżam na wybieżki z klasą, to siedzisz sama.

– Ale to inna sprawa... praca.

Piotr spojrział na zegarek i zaczął się spieszyć. Matka już nawet nie udawała, że coś przegląda, tylko bacznie śledziła każdy jego krok i gest.

– Mamo, ja mogę wrócić późno, więc wezmę klucz. – powiedział z wahaniem.

– Ale gdzie ty, dziecko, będziesz laził po nocy? – zatroskała się jakby ciągle był małym chłopcem.

Znał już ten tekst. Ostatnim razem usłyszał go, kiedy wychodził na spotkanie z Agatą, matematyczką w jego podstawówce. Właściwie wtedy sam nie wiedział, czy chce ją odwiedzać w tym jej tchnącym beznadzieją mieszkanku. Mimo tuszy ciągle była dość atrakcyjną kobietą, ale jakby spowita we wdowią samotność, która powoli owijała się wokół niej kolejnymi warstwami, odgradzając Agatę od ludzi. Mieszkała z nastoletnią córką i razem zdawały się skutecznie budować bastion przeciwko złemu światu. Wydawało się, że podejmuje jeszcze desperackie próby wydobywania się z tego całunu i zaproszenie Piotra było jedną z nich. Ostatnim razem Agata przygotowała nawet coś w rodzaju uroczystej kolacji, ale cały ten jej wysiłek okazał się daremny. Na widok białego obrusa, świec, świeżych kwiatów i wina Piotr spanikował. Ledwie wszedł, a już chciał wychodzić. Rozmowa zupełnie im

się nie kleiła – dukał jakby po omacku szukał czegoś w głębokiej torbie. Wszystkie towarzyszące temu czynności rozciągał z nadmierną atencją, chcąc usprawiedliwić męczące pauzy.

– I co teraz czytasz? – zapytała.

Milczał. Chorobliwa empatia, którą odziedziczył po matce, kazała mu analizować każdą sytuację pod kątem ewentualnego urażenia rozmówcy. Jego odpowiedź na to skądinąd niewinne pytanie Agaty mogła wywołać całą gamę reakcji. Wiedział, że jeśli padnie nazwisko pisarza, o którym nie słyszała, to będzie jej głupio, bo jest nadwrażliwa i niemal we wszystkim doszukuje się krytyki swojej osoby.

– Powieść Ishiguro *Nie opuszczaj mnie*.

– Ishiguro? Ja go znam? – zapytała trochę niedorzecznie.

Powinien teraz powiedzieć, że noblista, *Okruchy dnia*, film z Hopkinsem, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Znasz, znasz... Ale czy ty masz jeszcze czas na czytanie? – sprytnie wybrnął z niezręcznej sytuacji, wskazując głową piętrzącą się na biurku stertę zeszytów do sprawdzenia.

– Pożyczysz? – zapytała Agata, a w jego uszach zabrzmiało to jak wyrzut sumienia.

– Oczywiście.

I znowu męcząca cisza, paniczne szukanie neutralnych tematów, których omawianie jest zaledwie markowaniem rozmowy. Po dwóch godzinach takiej męczarni wreszcie wstał, pożegnał się, unikając kontaktu wzrokowego i zbiegł po schodach jak rabuś z łupem. Wrócił wtedy przed jedenastą. Miał nadzieję, że matka już śpi, ale czekała na niego w kuchni ze zwieszoną głową. Z całej jej postaci emanowało cierpienie. Spojrzała z bólem w oczach i zapytała słabym głosem, czy mu odgrzać gołąbki. Odpowiedział, że nie jest głodny. Znał wszystkie te gesty, ten ton, ale znowu, jak za każdym razem, dał się wciągnąć w spiralę cichych pretensji, samooskarżania i wyrzutów sumienia. Z każdą sekundą narastała w nim frustracja i złość. Na siebie, na matkę, na cały świat, który skrzył się urągająco gdzieś tam, za drzwiami tego zagraconego mieszkanka. Staruszka pokiwała głową i podreptała do swojego pokoju. Po chwili rozległo się stękanie i jęk sprężyn, kiedy położyła się na wysłużonej wersalce. Piotr natychmiast skoczył w kierunku lodówki i wyciągnął rozkosznie zimną butelkę piwa. Poszedł z nią do dużego pokoju i niemal bezgłośnie otworzył kapsel. Już dawno temu opanował sztukę bezgłośnie otwierania butelek i puszek, bo nie chciał tymi odgłosami budzić matki. Kilka pierwszych łyków przywróciło utraconą równowagę. Postawił butelkę na stole i jak zahipnotyzowany patrzył na leniwie spływającą kroplę. Wrócił myślami do Agaty. Coś się między nimi popsulo. Przecież nie zawsze ich rozmowy wyglądały w ten sposób.

Przypomniawszy sobie wycieczkę klasową sprzed kilku lat. Siedzieli wtedy w słabo oświetlonym hotelowym korytarzu górskiego pensjonatu i co chwila nasłuchiwali, czy z pokoi dzieci nie dochodzą jakieś niepokojące dźwięki – przytłumione chichoty, zduszone salwy śmiechu, podejrzane chroboty... Uczniowie jednak spali, a on zabawiał ją cytowaniem aforyzmów.



Ośrodek Szkolenia Kierowców AGORA-MIRAŻ

Mecenas Bydgoskiej Kultury

www.naukajazdy.bydgoszcz.pl

- ♦ Szkolenie w zakresie przewozu osób i rzeczy
- ♦ Kurs ADR - przewóz materiałów niebezpiecznych
- ♦ Pracownia psychologiczna

Biuro czynne:

poniedziałek - czwartek 8:00 - 19:00

piątek 8:00 - 16:00;

sobota i niedziela 9:00 - 13:00

ul. Gajowa 32

tel. 052 342 34 96

tel. 052 348 98 23

KATEGORIE

A, A₁, B, B₁, C, D, T,

E do B, E do C

– Człowiek utalentowany bardzo rzadko odnosi sukces dzięki swojemu talentowi. – przywołał z pamięci kolejną sentencję.

– Ale tobie się udało. – szepnęła wtedy Agata.

– Nic mi się nie udało... – odpowiedział z goryczą.

– A twoja muzyka, pisanie...

Teatralnie machnął ręką jakby grał w jakiejś sztuce.

– O czym ty mówisz... Wszystko na nic.

– Co ty pleciesz? A co ja mam powiedzieć... – zamilkła jakby dopiero po wypowiedzeniu tych słów zdała sobie sprawę z ich prawdziwego znaczenia. Wyraźnie zmarmotniała. Spojrzał na nią i po raz pierwszy dostrzegł delikatną siatkę zmarszczek, którą czas zarzucił na jej piękną twarz. Kiedyś myślał, że mają szansę, ale ta jej nadopiekuńczość, te dobrze wysmażone mielone i wieczne uzalanie się nad sobą za bardzo przypominały mu matkę, która z resztą darzyła Agatę wielką sympatią. Ucieczka była dla niego najbardziej naturalnym wyjściem z sytuacji. Na szczęście ich relacja nigdy nie przekroczyła etapu ciepłej przyjaźni, więc nie było też rozdzierających scen rozstania. Oczywiście wiedział, że ona ciągle liczyła na coś więcej i że kolejne osady żalu odkładały się w jej sercu. Na to nie było jednak rady. Sprawa była definitywnie zamknięta.

Wrócił do rzeczywistości. Pytanie matki ciągle wisiało w powietrzu. Co miał jej odpowiedzieć? Że poznał kobietę swojego życia?

– Nigdzie nie będę łaził, umówiłem się w restauracji. I nie po nocy, bo wrócę koło jedenastej.

– W domu masz dobre jedzenie, po co wydawać pieniądze na restaurację?

– Mamo, ja mam spotkanie z Magdą.

– Tak podejrzewałam. – wyszeptała staruszka i zabrzało to tak, jak gdyby chodziło o straszliwą chorobę syna, której symptomy od jakiegoś czasu dostrzegała – Więc to coś poważniejszego... – dodała grobowym tonem.

Założył najlepszą kurtkę i spojrzał na siebie w lustrze. Był barczysty, ale wypite hektolitry piwa, pozostawiły pamiątkę w postaci pokaźnego brzucha. Jednak mimo to podobał się kobietom. Lekko ogorzała cera i kruczoczarne, kręcone włosy upodabniały go do Południowca. Wiedział, że często odwracają za nim głowy i przedłużają kontakt wzrokowy do granic przyzwoitości. Speszony, zwykle odwracał wzrok jako pierwszy, a wtedy zalotny uśmiech kobiety zamieniał się w grymas szyderstwa.

– Boli! – głośny jęk matki wyrwał go z chwilowego zamyślenia. Spojrzał w głąb kuchni i zobaczył Wiesławę zgiętą w pół.

– Co ci jest?! – krzyknął i natychmiast do niej podbiegł

– Zakuło... W sercu. – wyszeptała.

– Weź tabletkę pod język.

– Samo przejdzie. Podprowadź mnie do łóżka.

Oparła się na jego ramieniu i kuśtykając podreptała do swojego pokoju. Piotr ukradkowo spojrzał na zegarek, ale matka i tak to dostrzegła.

– Idź już, spieszysz się. – wyszeptała – Nic mi nie będzie. Najwyżej wezwę pogotowie...

Staął w przedpokoju niezdecydowa-

ny. Nie po raz pierwszy miała atak, kiedy on wychodził wieczorem. Za każdym razem okazywało się, że to nic poważnego, ale przecież naprawdę chorowała na serce, więc wszystko mogło się zdarzyć.

W końcu podjął decyzję.

– Ja wychodzę. Jakbyś się gorzej poczuła, to dzwoń do mnie.

Nic nie odpowiedziała, tylko osten-tacyjnie odwróciła się twarzą do ściany.

Na klatce schodowej spotkał sąsiada spod trzynastki. Starszy pan zniemacka złapał go za ramię. Piotrowi bardzo się to nie spodobało, ale nie zareagował. Wiedział, że starsi ludzie czasem naruszają przestrzeń osobistą innych i są w tym podobni do dzieci.

– Oj, szkoda panie Piotrusiu, wielka szkoda... – zaczął sąsiad.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Piotr był zdezorientowany.

– Tyle lat w jednym bloku, tyle lat!

– Ale o co chodzi?

– Kiedy ją pan odwozi? – sąsiad brnął, jakby wcale nie słyszał Piotra.

– Kogo i dokąd?

– Jak to kogo? Pani Wiesia mówiła mi, że odstawia ją pan do domu opieki.

Piotr zdrętwiał. Zdumienie odebrało mu na moment mowę.

– Naprawdę tak powiedziała? – zapytał w końcu.

– Tak. Twierdzi, że to pana decyzja i że będzie tu mieszkała jakaś młoda kobieta.

– Bzdury. Nic takiego nie mówiłem. – w głosie Piotra słychać było maskowaną wściekłość.

– Też mnie to zdziwiło. Zawsze tak dobrze o panu mówiła, chwalała, że ma takiego troskliwego syna, a teraz dom opieki? Przecież nie jest zniedołężniała.

– Coś jej się musiało popłatać. „Albo tobie.” – Piotr dodał w myślach.

– Czyli z tym domem opieki to bujda? – upewnił się staruszek.

– Bujda.

– Oj, dobrze. Powiem Teresie i Jadzi, bo one też się zmartwiły.

– Zdaje się, że cały blok w to uwierzył...

– Pani Wiesia kogo mijała, temu mówiła.

– Chryste! Do widzenia! – powiedziałszy to, Piotr odwrócił się na pięcie i z powrotem zaczął wspinąć się po schodach, żeby rozmówić się z matką.

Przekreślił klucz w zamku i z ulgą stwierdził, że nie założyła łańcucha. Nie raz ją przestrzegał, żeby tego nie robiła, ale ona czasem o tym zapominała i nawykowo zakładała łańcuch. Tak samo było z zostawianiem klucza w zamku. Musiał jej wielokrotnie tłumaczyć, że po zamknięciu na zamek musi dla własnego dobra wyjmować klucz, bo w razie nagłej konieczności on nie będzie w stanie włożyć swojego. Wszedł po cichu do przedpokoju i zaczął nasłuchiwać. Po chwili do jego uszu dotarło słumione szlochanie dochodzące z pokoiku matki. Telefon w jego kieszeni zawibrował. Wiedział, że dzwoni Magda, bo już był spóźniony. Nie odebrał.

Matka leżała w swojej norce z głową zakrytą kołdrą, a jej drobnym ciałem co chwila wstrząsał szloch. W powietrzu unosił się zapach kropli walerianowych. Kiedy

zorientowała się, że syn jest w pokoju, zaczęła pojękiwać.

– Co ci jest, mamo? – zapytał zaniepokojony.

– Mówiłam... serce.

– Wzywam pogotowie! – powiedział stanowczo.

Błyskawicznie chwyciła go za rękę.

– Nie! Samo przejdzie, tylko posiedź ze mną.

Przycupnął na brzegu wersalki. Znowu wyczuł wibracje telefonu. Wyciągnął go z kieszeni. To była Magda.

– Słuchaj, – rzucił pospiesznie – mama źle się czuje!

– Znowu klucie... – staruszka jęknęła.

– Dziś nie dam rady.

– Boli coraz bardziej.

– Poczekaj! – niemal krzyknął.

– Daj krople.

– Zadzwoń później.

– Szybko!

– Halo!

Jeszcze przez chwilę trzymał telefon przy uchu, potem powoli schował go do kieszeni. Spojrzał na matkę. Leżała z półprzymkniętymi oczami i najwyraźniej się uspokoiła.

– To chcesz te krople? – zapytał.

Otworzyła oczy.

– Przeszło.

– Poleż spokojnie.

Podniósł się z wersalki i przeszedł do przedpokoju. Sięgnął ręką do kieszeni spodni po telefon, ale zaraz potem się rozmyślił. Doszedł do wniosku, że teraz nie ma już sensu dzwonić. Zdjął buty, wszedł do swojego pokoju i usiadł przy biurku. Spojrzał przez okno i ciężko westchnął. W oddali zatrąbiła kolejka. Blok naprzeciwko mrugał do niego zapalonymi i gaszonymi światłami. Wyciągnął telefon i położył go na blacie. Pomyślał, że równie dobrze mógłby to być kamień albo kawałek drewna. Nikt już dziś do niego nie zadzwoni. Włączył cichą muzykę i jednak rzucał niespokojne spojrzenia w kierunku telefonu. Pomyślał, że trzeba się z powrotem przebrać w domowe ciuchy.

Nagle usłyszał ruch w przedpokoju. Matka wyszła ze swojej norki i podreptała prosto do kuchni. Pstryknął włącznik światła. Wstał z fotela zaniepokojony.

– Co robisz, mamo?

– A, lepiej się poczułam, to usmażę te szproteczki. Lubisz takie chrupiące. Bułkę też mogę ci przypieć.

Nic na to nie odpowiedział. Poszedł do łazienki i założył znoszoną koszulkę i spodnie dresowe. Z kuchni doleciał zapach smażonych ryb. Poczul głód. Wrócił do swojego pokoju i włączył muzykę. Trafiła się sonata Arpeggione Schuberta. „Cholera, jeszcze to!”, pomyślał, bo Schubert zawsze trafiał go prosto w serce. Nagle ożył telefon. Podniósł go z blatu, zerknął i zaraz położył ekranem w dół. To była Magda. Po kilku chwilach wibracje ustały.

Nagle wyczuł nieznaczny ruch za sobą i gwałtownie się odwrócił. Zobaczył uśmiechniętą matkę. W jednej ręce trzymała oszronioną butelkę ciemnego piwa.

– Szklanki ci nie dają, – powiedziała – bo wiem, że lubisz prosto z butelki.

Kiedy matka wyszła, sięgnął do szuflady po notesik z numerami telefonów. ♦

Robert Rutyna

162. chłopcy z placu broni

po pracy przechodzą przez siatkę
nakładają na siebie jej ciasne oczka
z pachnących manuką gardeł
wydziela się mądrość zgromadzenia

brzuchy pęcznią wydarzeniami
niewydarzeni ojcowie okopani
w głębie powierzchni placu
przeprowadzają pomiary objętości

dzisiaj z grubej rury

wychyłą allinkluzywne łby
określą prawidłowy spad tyrolek
osadzą na kotwach nieinkluzywne furty
dowiozą bujakami termin ostateczny dowód

pod ich opalonymi stożkami cicho
rosną zacienione dzieci
ogrodzenia rozciągają się
chodnikami do mieszkań

wieczorami wyciągamy je z ciała
rozplatamy włókna poprzeczne

164. dziewczyny z placu broni

w rabatach macie wykwitły
przedłużające się godziny rzęsy

brak tchu natchnionych rozmów
rozpuszcza płytki czasów
skaczą do oczu z nóg
padają słowa i cienie

globus osiedla się obraca

ławki projektowane na trzy
dźwigają cztery traumy na raz
przestają trzeszczeć
defeminitywne spojenia głosów

przekwitają czas rabaty
przedłużają się macice

163. dzieci z placu broni

w rozkopanych poszwach
znów postarają się
o rodziców

Grzegorz Borowiec

Świat się poruszył

Coś tam o relacjach z mamą tatą
o rówieśnikach i o powielanych wzorcach
ćwiczenie na skojarzenia
dziennik emocji jako zadanie domowe
zalecenie aktywności na zewnątrz
na słońcu w końcu jest ładna pogoda
potem rachunek płatność gotówką

za drzwiami potknięcie
świat się poruszył

Przemysław Jazwiński

piątek i świątek

codzienne chodzenie dokładnie wiadomo gdzie
pourywane ścieżki obszyte liśćmi na całej trasie
szeleszcza podczas prób odnalezienia kierunku
ten jeden ukrył się dobrze pośród szmeru mantr

zwykle nadkładałam drogi by spotkać kogokolwiek
przechodząca obok nieuchronność nie mówi nic
widuję ją co i raz wielu woli kawiarnie od realiów
z oczekiwaniami nie sposób już pogadać na mię

staram się unikać fragmentów zacienionego dnia
w świetle widać wyraźnie wszystkie stare zapiski
utknięte między cegłami proszą o wyrozumiałość
święty augustyn mówi tylko w snach boba dylana

Zygmunt Dekiert

Dotyk przemijania

Nie słyhać chwili,
w której lato składa światło
na parapecie jesieni.
Czas wymykający się z rąk
odnajduje własne odbicie
w oczach rodziców,
w spojrzeniach dzieci.
Pozostawia w pamięci ciepło dłoni,
imiona z czułością wypowiedane,
głos matki wołający imię psa,
który od lat nie wybiega na spotkanie.

Przemijanie – nie zabiera wszystkiego.

Czas pozostaje kurzem
osiadającym na książkach
do których się wraca.
Rozpoznaje śpiewy ptaków
wiosną darowane,
jakby świat po raz pierwszy zaistniał
- jeszcze jedną szansą.

Stanisław Dłuski

Ukrzyżowani

na barowych stołkach
wierszokleci
i kobiety lekkich obyczajów
popielniczki pełne
aż się w nich topią niedopałki
piwo ciepłe
wino kwaśne
noc kręci się nad nami
jak stary wentylator z baru
który pamięta lepsze czasy
ktoś czyta wiersz
z brudnej kartki
ktoś się śmieje
ktoś mówi
daj spokój
polej jeszcze
dziewczyna w czerwonej kurtce
patrzy na nas
jak na dzieci
które zgubiły drogę do domu
siedzimy
pijemy
gadamy głupoty o miłości
a za oknem
świta
miasto powoli
wyciąga z naszych dłoni
gwoździe
kładzie je na ładzie
obok drobnych
i rachunku za noc

Kazimierz Kozaryn

miejska mantra

Merkury nisko po zmroku.
Światła w biurkach jak w wytartym golfie.
Puszki pod znakiem zakazu.

Kwiaty sygnalizacji rozkwitają i więdną.
Wózki powiązane sznurkami.
Stopy napęczniałe w skarpetach kamienic.

W zaułkach wyparowują żółte kałuże.
Znajdź swoje pragnienia i gryź przęsła.
Noc odpędza samoloty. Niczemu się nie dziwi.

Geniusz i milczenie

Franz Kafka kazał spalić swoje rękopisy. Nie z fałszywej skromności ani z kokieterii. Naprawdę nie wiedział, co z nimi zrobić. Pisał nocami, po pracy w zakładzie ubezpieczeniowym, w wynajętych pokojach, między bezsennością a postępującą gruźlicą. Nad ranem gasił lampę i szedł do świata, który nie miał pojęcia, co powstało kilka godzin wcześniej. Nie ufał właściwie żadnemu sygnałowi, że to, co robi, ma sens. Kiedy umierał w 1924 roku, nie był uznanym pisarzem. Dopiero Max Brod — wbrew wyraźnej woli swego przyjaciela — zdecydował się ocalić rękopisy i opublikować. Świat zaczął wtedy rozumieć, że gdzieś w ciszy, obok zwyczajnego życia, wydarzyło się coś ogromnego, że człowiek umierający jako nieznany urzędnik z Pragi napisał rzeczy, bez których dwudziesty wiek byłby inny.

To jest paradoks, który niepokoi mnie bardziej niż większość historii literatury. Nagroda nie trafiła do tego, kto poniósł największy koszt. Kafka zapłacił samotnością, zwątpieniem, życiem przeżyтым bez pewności, że jego praca kogokolwiek obchodzi. Zysk przypadł historii — czytelnikom, krytykom, tłumaczom, uniwersytetom. Wszystkim oprócz autora, a przecież Kafka nie był wyjątkiem. Stendhal podobno powiedział, że jego prawdziwymi czytelnikami będą ludzie żyjący sto lat po nim. Być może przeczuwał własne opóźnione istnienie. „Czerwone i czarne” oraz „Pustelnia parmeńska” nie zostały naprawdę zrozumiane za jego życia. Umarł w 1842 roku, nierozpoznany w swojej właściwej skali. Później zachwycał się nim Lew Tołstoj, dopiero później przyszła sława, miejsce w historii literatury, kolejne pokolenia czytelników. Stendhal niczego już nie zobaczył. Podobnie było z Georgiem Büchnerem, który zmarł w wieku dwudziestu trzech lat. Jego „Woyzeck” — niedokończony, zapisany chaotycznie na luźnych kartkach — przez lata pozostawał właściwie martwym rękopisem. Dzisiaj uchodzi za jeden

z fundamentów nowoczesnego dramatu. Büchner nie miał czasu się o tym dowiedzieć. Być może nie zdążył nawet pomyśleć o sobie jako o pisarzu.

Nie wiem, dlaczego akurat Kafka wraca do mnie najczęściej, bo przecież lista takich autorów jest dłuższa. Emily Dickinson za życia opublikowała zaledwie kilka spośród blisko tysiąca ośmiuset wierszy. Herman Melville po chłodnym przyjęciu „Moby Dicka” pracował jako celnik w nowojorskim porcie, coraz bardziej zapomniany. Jan Potocki stworzył „Rękopis znaleziony w Saragossie”, powieść wyprzedzającą własną epokę, po czym odebrał sobie życie, nie wiedząc jeszcze, jak długo jego książka będzie wracać do kolejnych czytelników. Co sprawia, że ktoś pisze, nie mając pewności, czy ktokolwiek będzie słuchał? To pytanie wraca do mnie zawsze, bo pisanie w ciszy — nie jako estetyczna poza, lecz realne doświadczenie — wymaga szczególnego rodzaju siły. Może jest to wewnętrzna konieczność silniejsza od potrzeby uznania. Może rozpacz szukająca ujęcia, a może po prostu niemożność zamilknięcia.

Większość ludzi, którzy próbują pisać, zatrzymuje się w pewnym momencie nie dlatego, że brakuje im talentu, lecz dlatego, że brakuje odpowiedzi. Człowiek potrzebuje echa. Potrzebuje świadomości, że jego głos gdzieś dociera, że ktoś po drugiej stronie naprawdę słucha. Bez tego rękopisy trafiają do szuflad, notatniki zostają niedokończone, kolejne strony zaczynają wydawać się zbędne. Ilu autorów zamknęło szufladę na zawsze? Ilu spaliło swoje teksty naprawdę — nie symbolicznie, jak Kafka w swojej ostatniej prośbie, lecz dosłownie, własnymi rękami, przekonanych, że nikt nigdy ich nie przeczyta? Tego nie dowiemy się nigdy. Historia literatury pamięta wyłącznie tych, po których coś zostało. Milczenie nie pozostawia śladów. Być może dlatego mechanizm rozpoznawania wielkiej literatury niemal zawsze działa z opóźnieniem. Niektóre książki pojawiają się zbyt wcześnie — wyprzedzają

język swojej epoki, jej wrażliwość, jej zdolność rozumienia. Czytelnicy widzą wtedy tekst, ale nie widzą jeszcze wszystkiego, co zostało w nim zapisane.

Kafka opisywał biurokratyczny absurd, anonimową władzę i egzystencjalne wyobcowanie w świecie, który dopiero miał doświadczyć ich na masową skalę. Stendhal analizował ambicje, społeczne role i mechanizmy hipokryzji z psychologiczną precyzją, na którą jego czas nie był jeszcze całkowicie przygotowany. Może właśnie dlatego część arcydzieł przypomina wiadomości wysłane do odbiorcy, który jeszcze nie istnieje. Autor pisze dla ludzi przyszłych, choć sam nie ma pewności, czy przyszłość w ogóle odpowie. Jest w tym coś głęboko niesprawiedliwego. Jednocześnie zaś coś, bez czego literatura prawdopodobnie nie mogłaby istnieć w swojej najważniejszej formie. Gdyby twórca otrzymywał gwarancję uznania jeszcze przed rozpoczęciem pracy, pisałby inaczej. Ostrożniej. Bez ryzyka. Bez tej szczególnej samotności, w której powstają rzeczy naprawdę nowe. Kafka o tym nie wiedział. Pisał dalej mimo wszystko. I może właśnie owo „mimo wszystko” mówi o literaturze więcej niż wszystkie późniejsze interpretacje.

Kiedy czytamy dziś Kafkę, Stendhala czy Büchnera, widzimy przede wszystkim gotowe dzieło: słowa na stronie, nazwisko w podręczniku, miejsce w historii literatury. Znacznie trudniej wyobrazić sobie tę niewidzialną część — lata pracy bez odpowiedzi, bez pewności, bez poczucia, że ktokolwiek czeka. Ta ciemna część twórczości zwykle pozostaje ukryta. Nie daje się w pełni opisać ani zrozumieć. Być może dlatego tak łatwo mylimy sukces z wartością, rozpoznawalność z wielkością, obecność w kulturze z rzeczywistym znaczeniem dzieła. Przecież literatura bardzo często rodzi się bez świadków. W samotności, która nie obiecuje nagrody. W milczeniu, które przez długi czas wydaje się absolutne. I być może dopiero po latach ktoś odnajduje w tym milczeniu własny głos. ♦

Szymon Florczyk

HAIKU

horyzont
zatknięty w stóg
drży w srodozde

drewniana ławka
w dziurze po sęku
rośnie zielone

promyki w lesie
zamiast grzybów dostrzegam
twój piękny nos

idę ku oknu
ściana rudych koron
małe w ramie

szept miłośniczek
w rozświetlonej galerii
błyszczą łysina

Współpraca z Autorami i Czytelnikami „Akantu”

Przekazując materiały do redakcji „Akantu”:

- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię, a w notach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.

– autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Wszystkich Czytelników, Autorów oraz Przyjaciół „Akantu” zapraszamy do wsparcia finansowego naszego czasopisma.

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać oraz drukować Wasze teksty. Przyjaźń i solidarność ludzi kultury pozwoli przetrwać kulturze w tym skomercjalizowanym świecie.

Nr konta bankowego wydawcy, czyli Towarzystwa Inicjatyw Kulturalnych: 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

The U.S.A.

Antykwariat wyłonił się dla nas jak błogosławieństwo. Długo błądziliśmy w ten Millenijny czas roku 2000 z mężem przemierzając zakamarki Asunción w poszukiwaniu jakiegokolwiek księgarni lub miejsca, gdzie można obejrzeć książki. Nic. Pustka. Mijaliśmy ekskluzywne sklepy z odzieżą, obuwiem, zabawkami oraz wszelkiego rodzaju restauracje, jednak nigdzie nie było nawet śladu księgarni, tak jakby w Paragwaju nie czytano książek. Powoli ten zadziwiający brak stawał się dla nas coraz większą tajemnicą i przeistaczał w lekką obsesję. Rozpaczliwie szukaliśmy czegokolwiek, choćby namiastki, choćby największej książkowej tandety.

Nie znaczy to, że Asunción nie oferowało nic do czytania. Znajome z Polski stragany *szczęki*, w których handlowano prasą, dosłownie oblepiły główne ulice. Tak, tutaj towaru było w bród – od wszelkich rodzajów poważnych, amerykańskich czasopism, po bardziej lub mniej zakamuflowane *świertszyki*, ale nam marzył się świat literatury iberoamerykańskiej, tak skrzętnie zbierane w Polsce pozycje, które tutaj można było zdobyć w oryginale. Niecierpliwie przemierzaliśmy główne ulice, Palmę, Estrellę, Chile... I tak trafiliśmy do antykwariatu.

Idąc chodnikiem, rozglądawszy się niecierpliwie na prawo i lewo, nieomal w ostatniej chwili dostrzegliśmy olbrzymiej postury kobietę. Nad chodnikiem zamontowano na metalowych rurkach tworzących rodzaj rusztowania, dużą czarną plandekę. Dzięki temu powstał plastikowy namiot ocieniający rozległy fragment bruku. W perspektywie rozgrzanej ulicy ów namiot wyłonił się jak oaza, długo poszukiwany wodopój, więc czym prędzej wgłębiliśmy się w jego chłód, łaskawie podarowaną ochronę przed słońcem i wtedy nasz wzrok padł na nieruchomą postać kobiety. Siedziała pod rozpiętą plandeką doskonale niewidoczna z daleka. Nieruchoma dama uformowana w kolosalną bryłę, której głowa zdawała nie oddzielać się od tułowia, a szyja zaniknęła, jakby utopiła się w napęczniałym tuszczu, w momencie gorączki, zawieszzonego wysoko słońca zaistniała tak ostatecznie, jak koniec świata. Kobieta siedziała za biurkiem jakby chroniąc pomieszczenie za plecami, ciemną jamę, pieczęć prowadzącą w głąb kamienicy. Chociaż nie było wystawy, dużych szyb i zachęcającej dekoracji, wyglądało to jak sklep. Bezpośrednio z chodnika wchodziło się do wewnątrz, przy czym rodzajem wystawy, wprowadzenia w charakter miejsca zdawała się być właśnie monstualna seniora. Staralam się znaleźć jakieś rozwiązanie tej sceny, prawidłowe odczytanie sytuacji, ale nie mogłam skupić myśli, tak bardzo skoncentrowałam się na poszukiwaniach, całkowicie zdeterminowałam na dalszą wędrówkę. Niezaplanowany postój momentalnie zdwoił strumienie potu na plecach. Trwał we mnie brak myśli, brak skojarzeń, brak zdziwienia, chociaż słońce nie stało już w zenicie. Minęła dłuższa chwila, gdy dostrzegłam przymocowane pod plandeką gazety. Wydawało się jasne, że kobieta - ni-

czym Cerber - strzegła kolejnego sklepiu z gazetami. Pudło. Już chcieliśmy się oddalić, gdy wybiegł do nas Gustavo.

Takiej spontanicznej radości, szaleńczego entuzjazmu, takiej gestykulacji i zadowolonia z naszej wizyty nie okazały nam w Paragwaju nawet najbardziej zakochane w Olguni seniores. Był to zachwyt oszałamiający, niewymuszony, całkowicie naturalny. Chłopak sprawiał wrażenie człowieka, który doczekał się upragnionej wizyty arcyważnych gości. Kręcił się w miejscu, wybuchał śmiechem i mówił, mówił, mówił. Powstało cudowne zestawienie – olbrzymia seniora przyglądała nam się życzliwie zza biurka, z uśmiechem, ale absolutnie nieruchomo, natomiast Gustavo nie mógł się zatrzymać, uspokoić mimiki i spontanicznych gestów. Poza tym nie różnił się wiele od paragwajskich chłopaków – niewysoki, szczupły i ciemny – doskonale komponował się z mrokiem plandeki. Jego piękne, duże, czarne, metysie oczy jeszcze bardziej rozbłysły, kiedy zorientował się, że chcemy obejrzeć sklep. Wymagało to z naszej strony wyobraźni oraz gibkości, ponieważ wejście zastawione było przez potężną właścicielkę, która ani myślała się ruszyć. Sklep istniał tylko w domyśle – wewnątrz panował półmrok, rozrzedzony światłem przedzierającym się z wysokich, wąskich okien. Zrobiliśmy kilkanaście kroków w głąb: półmrok niespodziewanie rozrzedził się odsłaniając istotę, serce pomieszczenia, jakim okazały się piramidy, góry, kopce książek. Książki wypełniały rusztowania półek zamontowanych wszędzie, od sufitu do podłogi, tworząc w ten sposób wewnętrzne żebra pomieszczenia. Książki zajmowały również środek, składowane w postaci sześcianów o wysokości jednego metra. Książki ułożone w wysokie kolumny wypełniały wszelkie wnęki, uskoki murów. Niemal brodziliśmy w tym nagromadzeniu, nagromadzeniu tak niespodziewanym i intensywnym. Scenografię dopełniały rozmieszczone chaotycznie wieże starych, pożółkłych gazet i plakaty przyczepione na cudem ocalałych gdzieś niedaleko wolnych przestrzeniach ścian. Wydrukowane na nich z jakąś barokową przesadą nazwy, hasła i nazwiska niewiele nam mówiły. Tak skomasowane dziesiątki kilogramów papieru wydzielały specyficzny zapach bibliotecznej starości. Przeciskaliśmy się delikatnie między tajemniczymi sterami, ponieważ wydawało się, iż poruszenie jednego elementu spowoduje zniszczenie misternie ukształtowanych zależności, zawalenie gazetowych i książkowych gór, tak jak pchnięcie pierwszego elementu domina powoduje całkowitą destrukcję kompozycji. Na regałach, na ścianach, nigdzie nie było żadnych opisów, żadnych wskazówek, gdzie i czego szukać. Tomik poezji sąsiadował z książką kucharską, a melanz gazetowych tytułów po prostu przerażał. Gustavo wiedział o tym i od początku zachowywał się jak rasowy przewodnik - oprowadzał nas wąskimi ścieżkami jakby wydrążonymi specjalnie między zwałami książek, wiódł

nas od jednego do drugiego książkowego urwiska, tłumaczył jak mógł, gdzie, co jest i ze wszystkich sił starał się być miły, ale nie była to poza wyuczona, poza *pod klienta*. Gustavo starał się, ponieważ przyjechalśmy do jego miasta, weszliśmy do sklepu, gdzie pracował dla grubej *senjory* i na dodatek uważnie go słuchaliśmy – młodego chłopaka, dla którego była to prawdopodobnie pierwsza praca w życiu. Objaśniał więc jak mógł, gdzie, co jest i jak się do tego miejsca dostać, ponieważ brak kierunkowskazów nie był najgorszym utrudnieniem. Nie było kierunkowskazów i to już było jakąś wskazówką, jednak, aby dotrzeć do autora i tytułu trzeba było pokonać kurz. Na książkach rozłożonych na półkach, a potem z braku miejsca na podłodze, na plakatach, na gazetach, na oknach i na ścianach, nawet na suficie, wszędzie leżała gruba warstwa kurzu. Dlatego pomieszczenie tonęło w szarym kolorze, co jeszcze potęgowała czarna plandeka skutecznie powstrzymująca dopływ światła. Grzebiąc w książkach, przewracając żółte kartki zbyt szybko zestarzałych woluminów trzeba było systematycznie otrzepywać ręce, ręce które błyskawicznie szarzały, spieślały się, nareszcie traciły wyzywający, biały kolor. Potęgowało to wrażenie cofnięcia w czasie, dosłownego zanurzenia w papierach. Wrażenie odcięcia od współczesnego świata wzmagały jednostajne, ciągle obroty wiszącego pod sufitem wentylatora – *helikoptera*. Wentylatora – widma, bo, mimo, że kręcił się dość szybko, jego praca rozpylała się w stojącym, nagrzanym powietrzu. Gruba *senjora* wciąż spoczywała przy wejściu, po antykwariacie kręciło się kilku facetów, Leszek oglądał każdą książkę, Olga poruszała się zrzucając sterty papieru i w ten sposób odkrywała coraz to większe skarby. Gustavo to pojawiał się oferując pomoc, to zniknął w okolicy szefowej. Gdzieś odsłonił nam się tomik Miłosa w serii Nobliści, przemknął Marquez z Rulfo, do tego Sábato i na okrasę Cortázar przepleciony z *Kapitałem* Marksa. Niestety, mieszanina upału oraz kurzu wygoniła mnie z córką na zewnątrz, ponownie pod plandekę. Tam odnalazł mnie Gustavo. Zawrócił, przepadł gdzieś w antykwariacie i po chwili wrócił niosąc dla mnie krzesło. Ustawiłam krzesło na chodniku i usiadłam z ulgą zapakowawszy wcześniej Olgunię do wózka. Gustavo, z bliskim w oku, przyglądał się mojej twarzy, po czym rzucił pytanie, które musiał nosić w sobie od dłuższego czasu: *the U.S.A.?*

The USA oznacza po prostu dolary. Ale *the USA* oznacza też coś, co – myślę – dla Polaka jest rzeczą niezwykłą: możliwość kontaktu z potęgą, potęgą rządzącą światem, niemal mitycznym imperium, które tutaj stawiając budynek ambasady otoczyło go wysokimi na dwa metry betonowymi murami. W Paragwaju nie lubi się Amerykanów, którzy podtrzymywali 35-letni reżim Stroessnera, a jednocześnie podziwiał, podziwiał się ich jako mitycznie, nabożnie i czołobitnie, nie zapominając o okazji wyciągnięcia choćby kilku centów. Gustavo szukał w moich oczach potwierdzenia swoich przypuszczeń, chciał dotknąć poprzez mnie Eldorada, tak tłumaczył zagadkę mojej białej twarzy. Szukał także dlatego, że o „the USA” coś wiedział, odróżniał emocjonalnie ten kraj od innych, czuł się bezpiecznie myśląc o mnie w ten sposób. Dlatego, gdy

usłyszał: *polaca* na jego twarzy wypłynęło zdziwienie i rozczarowanie, które niemal natychmiast ustąpiło miejsca młodzieńczej ciekawości. Wiedziała, że teraz Gustavo próbuje Polskę do czegoś dopasować, a przede wszystkim umiejscowić, osadzić w mapie, bo dla Paragwajczyków Polska brzmi równie egzotycznie *nie wiadomo gdzie* jak Paragwaj dla Polaków. Patrząc na jego wysiłki emocjonalne zderzając się z nagłym, dziwnym odczuciem: jeśli przedstawiałam się za granicą jako Polka, reakcje były różne. Na pewno jednak nie posadzono mnie choćby przez sekundę o pochodzenie ze światowego mocarstwa. Nigdy i nigdzie nie dodawano mi tej czci *a priori*, na wstępie, jaką widziałam w antykwariacie, w oczach młodego, spragnionego wielkiego życia Paragwajczyka, a potem w wielu innych oczach kiedy posadzono mnie o *the USA*. Po pierwszej, elementarnej prezentacji rozmawialiśmy jeszcze chwilę. Olga zaśmiała się w pozycji siedzącej na wózku. Gustavo, zerknąwszy na mojego malucha półsiedzącego, półleżącego w karykaturalnej pozycji, wzorem innych mężczyzn, wypytywał o wiek, imię, chwalił urodę mojej dziewczynki.

Gawędziliśmy, śmialiśmy się. Chciałam zrewanżować się za jego serdeczność i poprosiłam, żeby pozował do zdjęcia. Gustavo nie zrozumiał mojej prośby, sądził że chcę, aby on sfotografował moim aparatem mnie i Małą. Kiedy wyjaśniłam swoje intencje i skierowałam obiektyw na jego twarz, dość długo z powodu mroku dobierając parametry, rumieńce nieomal przebiły brązowy odcień skóry. Wiedziała, co spowodowało jego reakcję. W Asunción prawie nie ma turystów. Od czasu do czasu można napotkać zorganizowaną grupkę podziwianą dumny i reprezentacyjny Pałac Prezydencki, zresztą rzeczywiście w większości byli to turyści *from the USA*. Włóczęgami ulicami miasta byliśmy sami. Nie spotykaliśmy żadnych zwiedzających, mnożących się przed oczami Japończyków i wszechobecnych automatycznych aparatów fotograficznych. Oddalenie Asunción od szlaków turystycznych nie uodporniło mieszkańców na widok wszędobylskich turystów szturmujących miasto w czasie wakacji. Tubylcy, kiedy zauważali, że robię zdjęcie, kiedy spostrzegali, że fotografuję właśnie ich, pozwolili z dziecięcą nieśmiałością, radośnie przepychając się albo odwracając zawstydzoną twarz. A teraz ja, tak rzadko tutaj spotykana osoba było-nie było- z Europy!, tak egzotyczna kobieta, poświęcam jedną kliszę właśnie Gustavowi! Chłopak pozował z bardzo dumną miną, wstrzymując oddech i zerkając wokół, czy wszyscy widzą, a szczególnie olbrzymia, nieruchoma szefowa. Kupiliśmy w antykwariacie książkę *Sobre heroes y tumbas* Ernesta Sábato i obiecaliśmy sobie, że na pewno wrócimy do tego miejsca. Nie udało nam się spełnić obietnicy, ponieważ znaleźliśmy księgarnię – źle i drogo zaopatrzone, ale jednak, a potem całkowicie wchłonęła nas atmosfera *Café Literario*.

Nie żałuję tej fotografii. Ma ona nie tylko wielką wartość dla Gustava. Patrząc na jego zachwycone oczy i najlepszy z możliwych uśmiech, czuję unoszący się w powietrzu nagrany słońcem kurz powoli falujący zgodnie z ruchem zawieszonego pod sufitem wentylatora. ♦

Stanisław Dłuski

Przegraní poeci

Mieszkali w tym samym mieście, ale przez długi czas nie wiedzieli o swoim istnieniu. Jeden pisał nocą, drugi nad ranem. Jakby dzielili dobę na pół, żeby się nie spotkać – albo żeby się nie rozminąć całkiem.

Pierwszy miał na imię Marek. Zostawiał światło zapalone do trzeciej, czwartej, czasem do świtu. Siedział przy stole, który pamiętał jeszcze jego ojca, i zapisywał zeszyty drobnym, ścisłym pismem, jakby bał się, że ktoś go podsłucha. Pisał o rzeczach małych: o kubku po herbacie, który stygnie za szybko, o kurzu na parapecie, o tym, że człowiek czasem przestaje czuć ciężar własnych rąk. Nie ufał wielkim słowom. Kiedy raz spróbował napisać „miłość”, skreślił to i zostawił puste miejsce.

Drugi nazywał się Paweł. Wstawał wcześniej, zanim miasto zdążyło się rozruszać, i wychodził na długie spacer. Pisał w telefonie, w notatkach, szybko, jakby gonił coś, co zaraz zniknie. Jego wiersze były bardziej rozchwiane, pełne nagłych obrazów: ktoś przechodzący przez ulicę z zamkniętymi oczami, pies szczekający na pustym balkonie, światło, które nie wie, gdzie się zatrzymać. On z kolei nie ufał ciszy. Zbyt długo w niej siedział.

Obaj mieli depresję, choć na różne sposoby. Marek mówił o niej jak o ciężarze: coś, co przyniata, nie pozwala się ruszyć, zamyka w miejscu. Paweł widział ją jako brak: jakby ktoś wyjął środek ze świata, zostawiając tylko formę. Obaj jednak wiedzieli jedno – bez pisania nie przetrwają dnia.

Nie dlatego, że pisanie ich leczyło. Ono raczej pozwalało utrzymać pęknięcie w ryzach. Nadawało mu kształt.

Spotkali się przypadkiem. W małej księgarni na rogu, gdzie właścicielka pozwalała zostawiać własne tomiki na półce „lokalni autorzy”. Marek przyniósł cienki zeszyt zsyty ręcznie, Paweł wydruk kilkunastu stron, trochę krzywo przyciętych. Sięgnęli po swoje książki w tym samym momencie i przez chwilę trzymali je razem, jakby sprawdzali, która jest cięższa.

– To twoje? – zapytał Paweł.

Marek skinął głową.

Nie powiedzieli nic więcej. Ale następnego dnia Marek wrócił i kupił tom Pawła. Paweł zrobił to samo.

Czytali się powoli, z przerwami, jak czyta się coś, co nie daje łatwej odpowiedzi. Marek zauważył, że u Pawła każde zdanie jakby się chwiała, ale nigdy nie upadało. Paweł zobaczył, że u Marka każde słowo jest przytrzymane, jakby mogło się rozpaść, gdyby puścić je za szybko.

Zaczęli się spotykać. Najpierw raz w tygodniu, potem częściej. Siedzieli naprzeciwko siebie przy tym samym stole w księgarni albo na ławce w parku. Czytali sobie wiersze, czasem coś poprawiali, częściej milczeli.

– Myślisz, że to coś zmienia? – zapytał kiedyś Paweł.

Marek długo nie odpowiadał.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Ale kiedy piszę, to przynajmniej wiem, gdzie jestem.

Paweł pokiwał głową. Dla niego to było trochę inaczej.

– Ja kiedy piszę, to przez chwilę nie muszę wiedzieć.

Zaczęli pisać razem. Nie w sensie jednego tekstu, raczej obok siebie, w tej samej przestrzeni. Marek w zeszycie, Paweł w telefonie. Czasem któregoś z nich czytało fragment na głos i wtedy drugie dopowiadało jedno zdanie. Nigdy więcej.

Powoli ich wiersze zaczęły się zmieniać. U Marka pojawiły się nagłe obrazy, krótkie błyski czegoś, co nie było już tylko ciężarem. U Pawła zdania zaczęły się zatrzymywać, jakby ktoś nauczył je oddychać.

Depresja nie zniknęła. Nadal były dni, kiedy Marek nie wstawał z łóżka, a Paweł chodził bez celu przez pół miasta, nie pamiętając, dokąd idzie. Ale coś się przesunęło. Jakby pisanie przestało być tylko ratunkiem, a stało się także miejscem spotkania.

Pewnego wieczoru, kiedy siedzieli przy stole, Marek powiedział:

– Wiesz, ja kiedyś myślałem, że piszę, żeby przeżyć.

– A teraz? – zapytał Paweł.

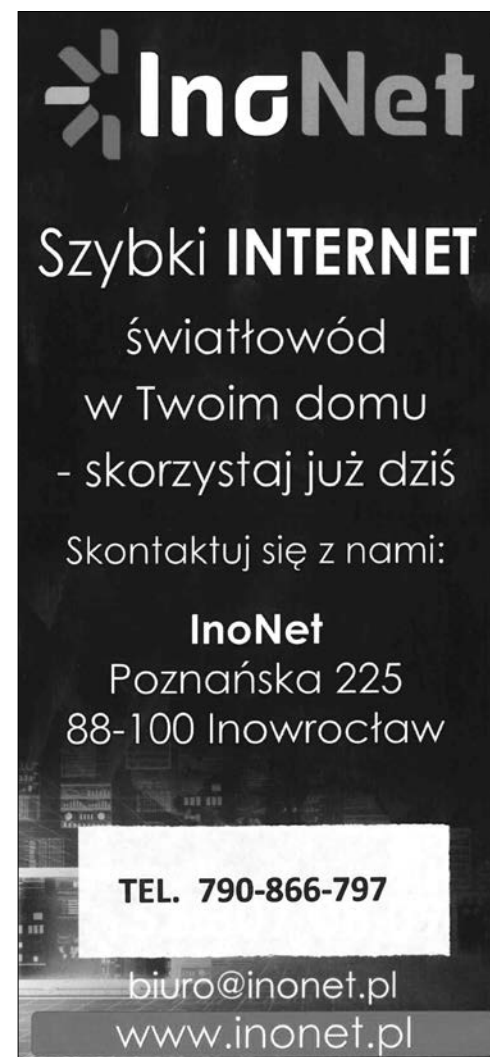
Marek spojrział na zeszyt, potem na niego.

– Teraz myślę, że piszę, żeby ktoś mógł mnie przeczytać.

Paweł uśmiechnął się lekko.

– To dobrze – powiedział. – Bo ja chyba piszę, żeby mieć kogo czytać.

Na zewnątrz zapalały się światła. Miasto wracało do siebie, powoli, jakby też musiało się nauczyć oddychać. A oni siedzieli jeszcze chwilę w ciszy, która tym razem nie była pusta. ♦



InoNet

Szybki INTERNET

światłowod
w Twoim domu
- skorzystaj już dziś

Skontaktuj się z nami:

InoNet
Poznańska 225
88-100 Inowrocław

TEL. 790-866-797

biuro@inonet.pl
www.inonet.pl

IRONIE

Igor Frender

Orient Express ciągle jedzie

Herkules Poirot prowadzi śledztwo.
Z szafy wypadły dwa trupy.
Logiczność zdarzeń w pędzącym pociągu gaśnie jak krwista żarówka.

Sztylet tkwi głęboko w tapicerce.

Na korytarzu — szelest spódnicy.
Życie, zasada rzeczywistości odziana w szaty absurdu, kpi z siebie.

Nie ockniesz się.
Lepiej poczytać książkę albo obejrzeć film.

Milczenie jest jak warknięcie psa,
a logika pod lupą okazuje się iluzją zdrowego myślenia.

Zagrajmy.
Dobierzmy karty z talii.

Jerzy Marciniak

czytanie własnych wierszy

pisarz swoją mądrą mądrość wypracował pracą własną
ciężką
wychował sam siebie
średnio

ludzie szanują go za to że jest mądry
ma dużą wiedzę
i
cudzych książek nie czyta a swoje tylko wrywkowo przy pisaniu

wielu mu zazdrości
czytali i poziom intelektualny w dół
chodzili do teatru i poziom jeszcze niżej
patrzyli na teatr TVP po upadku PRL-u i wizyta za wizytą...
niestety w instytucji stety

co drugi erotyk moralny i egzystencjalny pisarz poświęcał byłej żonie
przyszłej kochance lub jednocześnie obu albo ostatecznie żadnej z nich
o
tym jak się myśla (*zazwyczaj 3 zwrotki*)
jak pieprzy... (*4 zwrotki + połowę pochwalnego referatu na Dzień Kobiet*)
pokazywała (*połowę haiku + część pochwalnego referatu*)
do buzi... (*cały długi poemat bo uważał że mniej nie wystarczy*)
całowała (*czwóć litery lub nawet trochę mniej*)

teraz
jego książki o niej lub o niej
albo
ani o niej ani o niej
będzie umieszczano się w sklepie z zabawkami dla dorosłych
by
wrywali kartki
wycierali sobie gumowe buty po deszczu
lub
robili latawce jak on w dzieciństwie i puszczali z wiatrem w Świat

czytać nie muszą

wystarczy że przy pisaniu lub przed pisaniem robi to on
w łzach
w snach

Michał Łukowiak

Z każdym rokiem
coraz trudniej było po nim chodzić.
Tyle rzeczy
zamietliśmy pod dywan.

Próbowałem wszystkiego.
Wciąż za mało.
Stałem na głowie.
Nadal patrzyła z góry.

Uderzała mocno, trafnie.
Druga strona także w punkt.
Ja w rozkroku, w tym gorącu.
Między młotem a kowadłem.

Powiedziałem wszystko,
co chciała usłyszeć.
Patrzyłem, jak ulatują,
rzucone na wiatr.

Marek S.Podborski

Rodeo

On dziękuje za dzisiaj
jutra nie pamięta
sięgając do pętli
lassa marazmów

Musi w bestii cieniach
jak pajac śnić wymięty
co się pyłem rozwiewa
w monstrum areny

Umoczył w interesach
i stał się mistykiem
w kowbojskich bryczesach
z bykiem

Krzysztof T.Konecki

Pieprzyć wierszem

Męskość jest przereklamowana
Powiedziała przywiązana do kaloryfera
No przyjdź i zrób to
Nie mogę powiedział

Kaloryfer niepomalowany
Bardzo dużo kurzu na nim
Mam alergię

Wyraż to metaforą powiedziała
Nawet wierszem pieprzyć nie potrafisz

Jacek Jaszczuk**List z emigracji LXXXI**

1.
Patrzę jak huragan próbuje unosić
dachy domów, by ustawić je w stos
i słyszę twój głos wyobrażając sobie świat,
w którym ludzie żyją w zgodzie obok siebie.
2.
Celtowie wolą przeminać niż opuścić swój dom,
do którego wchodzimy oknami ekranów.
Ktoś powtarza: *razem jesteśmy silniejsi*.
Chciałbym mu wierzyć,
bo przecież już raz zmieniliśmy bieg historii.
3.
Teraz w trzasku powalonych drzew
dotykam wszystkich myśli
otaczających ruin klasztoru Glendalough,
wędrujących krawędzią atlantyckiego lasu deszczowego
jak pradawnych wędrowek
ukrytych między „The Book of Disquiet”
a milczeniem wszystkich światów
zamkniętych w „The Hitchhiker’s Guide to the Galaxy”,
pośród których coraz częściej rodzą się w epoce żelaza
lub Masajem z dystryktu Ngorongoro.

Dariusz Lebioda**SESZELE**

Dalekie wyspy jak granatowe
świątynie ciszy toną
w błękitach i bieli

przesuwają się między nimi
zagubione w czasie widma
statków Portugalczyków
arabskich kupców piratów
i francuskich poszukiwaczy
niemożliwych chwil

samotna fregata leci
majestatycznie nad
Madagaskar i albatros
oddala się od Reunionu

pośród odległości pulsuje
głuche echo stworzenia
zapadania się w oceanie
i wynurzenia wraz
ze słońcem

ciepło nie nicuje nostalgii
barwy nie oddalają lęku
poranne powietrze nie
łagodzi tęsknoty świat
zamiera powoli łagodnie
i ostatecznie

Dorota Szawdzianiec**Upadek**

Spadam
lecę
głową w dół
bezsens zasysa mnie
w czarny dzień
próbuję uchwycić
ostatni promień
wczorajszego słońca
a ty
między linijkami
czarnych liter
płyniesz po Pacyfiku
z armią amerykańską.

Spadam
lecę
na łeb na szyję
zgnieciona życiem
jak kartka
z marnym wierszem
w czeluście kosza klęski
bezgłośnie krzycząc
a ty
w Kambodży
surfujesz na plazmowej
fali
nucąc z żołnierzami
This is the end.

Jerzy Marciniak**Indiańska jesień**

w Kanadzie pisałem wiersze w narzeczu indiańskim
głównie w tym
gdzie nie ma alfabetu i liter

szło mi dobrze

muzyk wiolonczelista
uczeń Mścislawa Rostropowicza zachwalał
trzy bite strony tekstu
i
ani jednego błędu ortograficznego

po kilku miesiącach dodał
cztery bite strony poezji czy prozy
i
niczego złego się tam nie dopatrzyłem
a
po pół roku czy trzech kwartałach uzupełnił wypowiedź
dwa razy w życiu płakałem
gdy
Mścisław grał w Anglii Z domoviny Bedrzicha Smetany
i płakał
bo Układ Warszawski zbliżał się czołgami do Pragi
i teraz
gdy czytam twoją lirykę o odchodzeniu Indian w niepamięć

grał nieraz nad jeziorem
tym
na brzegu którego tworzyłem indiańskie teksty
gdzie
dawno temu Indianie malowali twarze
przed ruszeniem na wojnę
kolejną
przeciw białym
jak ja i on

zamiast brow
mieliśmy trzepot skrzydeł odlatujących gęsi
dzikich

jak my tam
jak my dla nich

Bernard Łach

Zaskoczyć mogą wędrujące manty –
cienie diabelskie, a zarazem łagodne,
jak wielkie skrzydła falujące
w wodnej przestrzeni.

Sięgają siedmiu metrów długości,
pływają powoli,
zanurzone w planktonowym deszczu,
którym karmią się milcząc

Czasem podchodzą do stacji czyszczenia –
tam, gdzie drobne ryby są ogrodnikami,
z cierpliwą dokładnością
zdejmują z ich ciał pasożyty
codziennego zmęczenia.

Chłopięca ciekawość

Siedmioletni Janis, który dla babci był wciąż jeszcze Januszką, świeżego mleka od krowy za darmo już nie pił.

Krowy w gospodarstwie pasły się przy domu na łące graniczącej z sadem, która ze wszystkich stron oddzielona była okólnikiem z sosnowych żerdzi. Jedynym powierzonym mu przez ojca zadaniem było, by ich pilnował i nie pozwalał przedzierać się do sadu, gdzie w pobliżu dojrzewały owoce jabłek i gruszek. Krowy szczególne chęć zawsze przejawiały do jabłek i wcale im nie przeszkadzało, że były jeszcze kwaśne. Wiedział już od ojca, że ten smakołyk traktują jak wszystko co zielone, jak trawę. I to nie tylko chodzi o to, że ściągając owoce z gałęzi czynią szkodę, ale też owoce te mogą im wyrządzić krzywdę, gdyż podobnie jak ziemniakami, czy złe pokrojonymi burakami, krowa może się nimi niebezpiecznie zadławić.

Odganiał więc je przy pomocy kija, którego nie wypuszczał z rąk także dlatego, że służył mu do zabawy. Gdy krowy oddalały się w głąb pastwiska, podbiegał do płynącego przez łąkę strumyka i mieszając nim wodę, płoszył pojawiające się w nim rybki, cierniki i kozy.

Zabawa ta zresztą niebawem mu się znudziła, krowy najwyraźniej podjadły sobie trawy na tyle, by zaspokoić przedpołudniowy głód i napiwszy się wody ze strumienia, skierowały się do cienia pod olbrzymią rosnącą tam samotnie dziką gruszą. Mułka się położyła, a Łaciata stała nieruchomo przy niej, odganiając zamaszystymi ruchami ogona muchy, które najwyraźniej dokuczały i jednej, i drugiej.

Januszek w przeświadczeniu, że polecenie ojca wykonał, krowy w żadną szkodę już nie wejdą, wybiegł na drogę i zaczął się rozglądać. Za pasem pegeerowskich pól z dojrzewającym zbożem pojawiły się sarenki, które wyszły zapewne z pobliskiego zagajnika. Nie było tam daleko więc dla czegośby nie zobaczyć, gdzie mają siedlisko? Ciekawość takiego chłopca jest zazwyczaj wyjątkowa i nie zawsze da się ją zaspokoić.

Poza tym to nie tylko krowy powinny stanowić troskę ojca, ale i syn, którego najlepiej też nie spuszczać z oczu.

Nie upłynęło więcej jak godzinę, gdy babcia powędrowała do ogrodu, niosąc w zapasce świeżo upieczone ciasteczka, które zawsze piekła dla wnucząt przy okazji wypieku chleba. Januszka tym razem przy niej nie było, w jej mniemaniu nie pojawił się od dłuższego czasu więc podchodząc do zięcia, zapytała: Kaźmirz, a gdzie Januszek?

– Na łące, krów pilnuje – odparł krótko ojciec, zajęty przygotowywaniem południowego obrządku trzody.

– Kaźmirz! Nie ma go tutaj!? – Dał się słyszeć z ogrodu głos babci Cecylii.

Ojciec początkowo nie przejął się zbyt, ale widząc niepokój teściowej, która przemierzyła całe obejście, nawołując wnuka, sam włączył się do poszukiwań.

– Gdzie ten piorun mały mógł pójść? Kazałem mu siedzieć na łące razem z krowami i pilnować, by nie zrobiły szkody w sadzie...

W zagajniku sarenek nie było. Nie było ich nad stawem przy zagrodzie Szczepanika, którego gospodarstwo było najdalej oddaloną na wsi zagrodą stojącą w sąsiedztwie lasu. A ten las rozciągał się od jego gospodarstwa hen daleko na zachód aż do najbliższej wsi oddalonej od Ślizowa około siedmiu kilometrów.

Siedmiolatek znał już go trochę, gdyż ojciec zabierał go czasami na wóz, wybierając się po drzewo na opał. Latem uczył syna, gdzie rosną grzyby, jak i kiedy je zbierać, a niekiedy razem z matką i jego siostrą Urszulą podwoził ich do lasu na jagody. Zbierali wtedy je razem przez większą część dnia, by potem sprzedać w Centrali Ogrodniczej.

– Poczekamy, na pewno gdzieś poszedł do któregoś z dzieciaków sąsiadów. Albo na wieś? Tylko po co? – uspakajał babcię, która zdążyła już swym niepokojem zarazić córkę Heńkę.

Matka Januszka nie była tak spokojną kobietą, jak spokojnym był jej mąż. Krzykiem przywołującym syna obiegała raz jeszcze całe gospodarstwo, a potem zaczęła pomścić. A to na chłopca, który nie posłuchał ojca, a to... na ojca, który nie do końca może rygorystycznie wyjaśnić mu, co ma robić przy krowach, gdy przestaną chodzić po łące i schronią się przed upałem w cieniu dzikiej gruszy.

– Już ja mu dam, jak się pojawi! Skórę mu wygarbuję! – zaczęła obiecywać głośno, co wywołało oburzenie jego babci.

– A już ci! Zaraz byś biła. Nie biłaś go dotąd i było dobrze. Pomyśl lepiej, gdzie jeszcze możemy go szukać...

Na skąpanej słońcem polanie nie było sarenek, ale za to odbywał się tam interesujący koncert. Słychać było rozchodzące się echem po lesie stukanie dzięcioła, śpiewał – pewnie kos – ale go widać nie było i dał się wypłoszyć zająć. Szarak pobiegł w stronę gęstej głuszy, w którą chłopiec zapuszczać się nie zamierzał. Ale... w bok od polany odchodziła wyraźnie wydeptana przez dzikie zwierzęta ścieżka, prowadząca do strumienia płynącego w kierunku stawu starego Szczepanika.

Szczepanik był myśliwym. On jeden we wsi miał pozwolenie na strzelbę, której zapewne bały się wszystkie żyjące tam dzikie zwierzęta.

To przed starym Szczepanikiem niedawno przestrzegali go ojciec: – Pamiętaj, nie łaz tam na łąkę tego starego kłusownika, ani nad staw, bo on z fuzji do chłopaków strzela z soli. Ty wiesz, jak to boli, jak się takim nabojem ze solą dostanie w tyłek? Chłopak od Gąsków niedawno oberwał, to przez tydzień potem tyłek w misce z wodą moczył.

Januszek nie zamierzał więc leżeć w

stronę stawu, gdzie mógłby narazić się staremu kłusownikowi – jak nazywał mu ojciec. Ale ścieżka wzbudziła w nim ciekawość. Co po niej chodzi, no i... dokąd tak naprawdę ona prowadzi?

Pokonując wysokie pojedyncze kępy trawy, dotarł do pasa gęstych krzewów leszczyn rosnących nad strumieniem. Orzechy wiszące gęsto w zwartych zielonych kiściach, ozdobionych koronkowymi brzegami koszyczków były jeszcze nie-dojrzałe, co mógł łatwo sprawdzić, gdyż oblepione nimi gałęzie sięgały do samej ziemi. Pod leszczynami brzeg strumyka pokrywał jedynie mech i jakieś drobno kwitnące roślinki, a dalej?... Dalej widoczny był przepust i leśna droga. Ta sama, którą jeździli z ojcem wozem z pola, przy szosie pod lasem prowadzącej z Dziadowej Kłody do wsi.

Zadowolony ze swojego odkrycia chłopak poczuł się swobodniej i usiłując skrócić sobie ostatni odcinek leśnego ostępu wszedł na wąską, wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę przy drodze. Muszę tutaj przyjść, jak dojrzeją orzechy – pomyślał. I w tym samym momencie poczuł przeszywający ból, obezwładniający jego ciało. Jakiś drut, jakieś paskudne żelastwo opasało mu nogi i powaliło go na ziemię.

Przerażonemu dzieciakowi udało się usiąść, ale... druciana pułapka mocno trzymała mu nogę, a kawał drutu utkwiał w okolicy podbrzusza. Na jego spodniach pojawiła się krew.

– Kierski! Kierski! – niósł się z drogi krzyk leśniczego, który siedząc na bryczce, gonił konia w stronę zabudowań ojca Januszka. – Jak wy do cholery pilnujecie dzieciaka?!

Bryczka leśniczego zatrzymała się pod bramą. Gospodarz, a za nim kobiety wybiegły z podwórza, a przerażona matka zaczęła głośno lamentować: – Matko Boska! Matko Boska, panie leśniczy, co się stało?! Skąd u pana moje dziecko?

– Nie matkoboszczyć! Nie matkoboszczyć – powtarzał leśniczy – tylko, gospodyni, ratujcie dziecko!

– Co mu się stało panie Dachowski? – z trudem wydobywając głos z krtani zapytała babcia chłopca, która pierwsza podbiegła do leżącego na tylnym siedzeniu bryczki zapłakanego wnuczka.

– Skąd on się wziął sam w lesie?! – dopytywał się leśniczy. – Chłopak wpadł w sidła zastawione przez jakiegoś kłusownika. Ledwie go wypłatałem. Dobrze, że akurat przejeżdżałem tamtędy i usłyszałem jego lament. Dał się w niebogłose, jak usłyszał moją bryczkę. Zaprzęgajcie szybko konia i trzeba go zawieźć do szpitala, bo jest pokaleczony.

– o Jezusie! O Jezusie! Zabić takiego skurwysyna, co stawia sidła na dzieci – nie mogła się uspokoić matka Januszka.

– Gdzie go pan znalazł?... Gdzie ty żeś polazł?! Miałeś pilnować krów na łące... – Ojciec, zamiast gonić do stajni po konia, dociekał prawdy o zaginięciu chłopaka. A Januszek, zamiast odpowiadać, jedynie zanosił się szlochem.

Babcia szybko ogarnęła go swoją zapaską i biorąc na ręce, zamierzała pójść z nim do domu, ale leśniczy powstrzymał ją. – Połóżcie go na ziemi i najpierw zobaczcie, co mu jest. Dzieciak krwawi.

Spróbujcie go opatrzyć. Ma poszarpaną skórę na nodze i ranę w kroczu. Musi jak najszybciej obejrzeć go jakiś doktor, żeby nie zrobiło się zakażenie...

– A pan by nie podjechał do szpitala z nami? – zapytała babcia, kierując wzrok na bryczkę.

– Ja i tak już dużo zrobiłem! I mam inne obowiązki, niż jechać jeszcze do Sycowa – obruszył się leśniczy. Na co matka chłopca podeszła tylko do niego i chwytając mu rękę, ucałowała jego dłoń. – Dziękuję panie Dachowski. Dziękuję.

Kobiety obejrzały chłopca i zanim jego ojciec przygotował furmankę, opatrzyły wstępnie rany zadane dziecku przez zbrodnicze narzędzie kłusownika. – Matko Boska! Matko Boska! – dało się tylko przy tym słyszeć, jak rozpacza jego matka. – Ten skurwysyn zrobił mi chyba z syna dziewczuchę. – Kaźmirz! Śpiesz się! Jedziesz z nim sam do doktora, bo to twoja wina!

– Ja sam? – Kierski był wyraźnie zaskoczony. – A kto kastruje nasze młode prosięta?! – zapytała Heńka – On ma ranę w kroczu. Ty chłop lepiej wyjaśnisz doktorowi, co ten zbrodniarz zrobił naszemu dziecku...

– Nie kłóćcie się! I nie wyrokuj na wyrost! – Babcia Cecylia skarciła córkę. – Ja z Kazimierzem pojadę! – zadecydowała i tuląc do siebie wnuczka owiniętego w stary koc wdrapała się na furmankę, zajmując miejsce na ławce za woźnicą. – Jedź Kaźmirz! I niech Bóg prowadzi – dorzuciła po chrześcijańsku.

Gdy zajechali pod szpital w Sycowie, Kaźmirz zaniósł poranionego chłopaka do lekarskiego gabinetu. I niewiele musiał wyjaśniać lekarzowi, bo doświadczony chirurg, jakim był doktor Jakimowicz szybko sam zorientował się w sytuacji. Wypowiedziane wcześniej opinie matki Januszka, że jego ojciec zna się lepiej na prosięcych jąderkach, do niczego się nie przydały. Jedynie wbiły się w pamięć chłopca, który potem dorastając, skrycie oglądał sobie krocz i długo trwał w niepewności. Nie czy jest nadal chłopcem, czy dziewczyną, bo to po opatrzeniu ran doktor mu objaśnił, mówiąc do niego pamiętne słowa: – No smyku, miałeś szczęście, że te siidla nie pozbawiły cię przyrodzenia. I że trafiłeś na mój dyżur w szpitalu.

Chłopaka trapiła w wieku dorastania tylko obawa, czy... będzie w przyszłości płodny, co kilkakrotnie w przypadkowych okolicznościach w jego obecności podważała matka.

Doktor Jakimowicz nie był w stanie jednak bezproblemowo opatrzyć chłopca. Januszek przetrzymany został przez parę dni w szpitalu. Oczywiście nie utrwaliło mu się w pamięci nic, co dotyczyłoby opatrzenia ran, gdyż został wcześniej uspijony, podano mu też zastrzyk przeciwko tężcowi i dopiero po podgojeniu szwów i ustaniu temperatury, oddano ponownie pod opiekę rodziny.

W niedługim czasie po ranach zadanych chłopcu przez kłusownika prawie nie było śladu. Pozostała jedynie przykra nauczka, że leśne porośnięte chaszciami ścieżki nie zawsze są bezpieczne, a samodzielne wycieczki do lasu zawsze mogą nieść jakieś zagrożenie dla zdrowia, a nawet życia. ♦

Stanisław Dłuski

Stefan Pastuszewski – sumienie miasta, pamięć wspólnoty

Nieczęsto zdarza się, aby jedno życie mogło pomieścić tyle różnych powołań. Poeta, prozaik, eseista, historyk, dziennikarz, opozycjonista, samorządowiec, nauczyciel akademicki, organizator życia kulturalnego i społecznik. Jeszcze rzadziej wszystkie te role układają się w harmonijną całość, podporządkowaną jednej idei – służbie człowiekowi i miejscu, z którego się wyrasta. Taką właśnie drogę wybrał Stefan Pastuszewski, którego Rada Miasta Bydgoszczy uhonorowała tytułem Honorowego Obywatela. Nie jest to jedynie wyróżnienie za dokonania, lecz akt uznania dla człowieka, który przez kilkadziesiąt lat współtworzył duchowy krajobraz miasta.

Bydgoszcz nie jest w twórczości Stefana Pastuszewskiego jedynie miejscem zamieszkania ani dekoracją wydarzeń. Jest przestrzenią pamięci, odpowiedzialności i zakorzenienia. To miasto obecne w jego książkach, felietonach, artykułach i wierszach niczym żywy organizm – ze swoją historią, dramatami, codziennością i nadzieją. Autor nigdy nie uciekał od lokalności, wiedząc, że właśnie ona prowadzi do tego, co najbardziej uniwersalne. Wielka literatura rodzi się przecież z uważnego spojrzenia na świat najbliższy.

Twórczość Pastuszewskiego od początku rozwijała się na styku literatury, filozofii i historii. Debiutował jako prozaik, lecz równie ważnym obszarem jego aktywności stała się poezja. Jest poetą refleksji, który nie szuka efektownych metafor dla samego piękna języka. Interesuje go człowiek postawiony wobec pytań o sens istnienia, wolność, odpowiedzialność i przemijanie. W jego utworach codzienność nie przeciwstawia się metafizyce – przeciwnie, to właśnie zwykłe doświadczenia odsłaniają głębszy wymiar rzeczywistości.

W tej poezji nie ma zgody na powierzchowność. Jest cierpliwe wsłuchiwanie się w historię, w głos sumienia i w pamięć miejsca. Poeta należy do tych twórców, którzy wierzą, że literatura nie kończy się na estetyce. Powinna także budzić odpowiedzialność. Dlatego jego wiersze często stają się medytacją nad losem człowieka uwikłanego w historię, nad kruchością wolności i nad obowiązkiem zachowania pamięci. Można powiedzieć, że jego poezja jest dialogiem między doświadczeniem osobistym a losem wspólnoty.

Nie sposób oddzielić tej twórczości od biografii autora. W latach osiemdziesiątych Pastuszewski nie ograniczył się do komentowania rzeczywistości. Włączył się w działalność opozycji demokratycznej, współtworzył strukturę „Solidarności”, był internowany po wprowadzeniu stanu wojennego, redagował prasę podziemną i wielokrotnie narażał własne bezpieczeństwo w obronie wolnego słowa. W jego życiu literatura i etyka nigdy nie istniały osobno. Słowo miało wartość tylko wtedy, gdy pozostawało wierne prawdzie.

Po roku 1989 również odpowiedzialnie wszedł w życie publiczne. Był posłem, radnym, wiceprezydentem Bydgoszczy, współtworzył samorząd województwa. Nie traktował jednak polityki jako przestrzeni kariery. Rozumiał ją raczej jako kolejny wymiar obywatelskiej służby. Nawet pełniąc wysokie funkcje publiczne, nie

porzucił literatury ani działalności społecznej. To rzadkie połączenie sprawia, że jego biografia przypomina renesansowy ideał człowieka zaangażowanego we wszystkie obszary dobra wspólnego.

Szczególne miejsce w jego dorobku zajmuje miesięcznik „Akant”. Przez blisko trzy dekady stał się on jednym z najważniejszych niezależnych pism literackich w Polsce, miejscem spotkania poetów wielu pokoleń i różnych estetyk. Dla licznych autorów był pierwszą przestrzenią publikacji, dla czytelników – szkołą wrażliwości literackiej. Trudno przecenić rolę Pastuszewskiego w budowaniu tego środowiska. Między innymi dzięki jego wytrwałości Bydgoszcz znalazła trwałe miejsce na mapie współczesnej kultury literackiej.

Jego działalność nie ograniczała się jednak do literatury. Organizował stowarzyszenia, inicjował przedsięwzięcia historyczne i społeczne, popularyzował dzieje regionu, troszczył się o dziedzictwo kulturowe Kujaw i Pomorza. Kiedy wybuchła wojna w Ukrainie, zaangażował się w pomoc uchodźcom, udowadniając raz jeszcze, że humanizm nie jest dla niego pojęciem abstrakcyjnym, lecz codzienną praktyką. Człowiek pozostaje najważniejszą wartością – niezależnie od narodowości, wyznania czy życiowego losu.

Miejsce Stefana Pastuszewskiego w kulturze polskiej nie wynika wyłącznie z liczby opublikowanych książek ani z pełnionych funkcji. Jego znaczenie polega na czymś głębszym. Należy do pokolenia twórców, którzy rozumieli literaturę jako formę odpowiedzialności za wspólnotę. Kontynuuje najlepszą tradycję polskiej inteligencji – tej, która nie zamyka się w wieży z kości słoniowej, lecz uczestniczy w życiu społecznym, podejmuje dialog z historią i staje po stronie wartości.

W epoce coraz większego pośpiechu i powierzchowności twórczość Stefana Pastuszewskiego przypomina, że kultura jest przestrzenią pamięci. Bez pamięci nie ma tożsamości, bez tożsamości nie ma wspólnoty, a bez wspólnoty człowiek pozostaje samotny wobec historii. Dlatego jego książki nie są jedynie zapisem doświadczeń autora. Są świadectwem czasu, kroniką miasta i zarazem opowieścią o Polsce przełomu XX i XXI wieku.

Honorowe Obywatelstwo Bydgoszczy jest więc czymś więcej niż ceremonialnym gestem. Jest podziękowaniem złożonym człowiekowi, który przez całe życie uczył, że słowo może być odpowiedzialnością, kultura – formą służby, a patriotyzm – codzienną troską o drugiego człowieka. W osobie Stefana Pastuszewskiego spotykają się poeta i obywatel, historyk i świadek epoki, marzyciel i człowiek czynu.

Miasto uhonorowało jednego ze swoich najwybitniejszych synów. Literatura polska zyskała twórcę wiernego własnym wartościom. A czytelnicy – autora, który od wielu dziesięcioleci przypomina, że najważniejsze pytania pozostają niezmiennie: o prawdę, wolność, pamięć i godność człowieka. Właśnie dlatego dorobek Stefana Pastuszewskiego wykracza daleko poza granice Bydgoszczy. Staje się częścią tej tradycji polskiej kultury, która wierzy, że słowo może nie tylko opisywać świat, ale także go współtworzyć. ♦

Z języka ukraińskiego przełożył Stefan Pastuszewski

Igor Sztanko

* * *

Mój dom rodzinny znowu mi się przysnił –
 Bocian krążył po błękitach nieba,
 Pszczoły wśród kwiatów śnieżnobiałych wiśni,
 Wszystko tu było, niczego nie trzeba...
 Lata mijaly, ścieżki szły powoli,
 Pola za polami ginęły we mgle,
 Tylko turzyce i drżące topole
 Trzymały się dzielnie co noc w moim śnie...
 Ale gdzieś daleko jakiś dżin się wyrwał
 Zamknięty dotąd w atomowym schronie
 I w tej całości zrobiła się wyrwa.
 Życie popiołem spadło w piekła łono.
 Stopiła się stal, szczyły ideały.
 Dżin rozsiewał wszędzie śmiertelne nasiona,
 Zabójczym pyłem obsypał świat cały...
 Ogrody kwitną, bociany znów na niebie
 I znowu rzeźbią swe odwieczne księgi
 Czterdzieści lat, nikt o tym już nie wie
 Nikt nie pamięta tej strasznej mordęgi,
 Ziemia milczy, ból snuje się po polu,
 Zatajając swe łzy w rdzawych trawach,
 Ale zamiast zboża zagony kłokolu
 I z gorzkich jagód zatruta potrawa.
 Ziemia jednak żyje, chociaż wokół cisza
 Ptaszek ze swą pieśnią w trzcinach się czai
 Podstępny Pluton na pewno oddycha...
 Niech gdzieś tam pozostanie,
 tu świat kwitnie majem...
 Budzę się – znowu świat światłem rozkwita
 Dzień powoli wkracza w swoje koleiny...
 Lecz musimy wreszcie tę prawdę odczytać –
 Musi być kara jeśli jest się winnym
 Niechaj ziemia ciszą wybuch przypomina
 Czarnobyl będzie pomnikiem-przestroga,
 Aby ten dżin z zamknięcia nie wylazł,
 Aby nie mogli ci, co wszystko mogą.

Olga Bortnikowa

Przyśniło mi się niebo bez wojny

Przyśniło mi się niebo bez wojny.
 Na nim nie rakiety, a ptaki latały.
 Czas nie poszarpany, ale ciągły, cały.
 Noc była cicha w moim domu spokojnym.

I nie było żadnych alarmowych trwóg.
 Widnokrąg był jasny, a nie ciemno-krwawy.
 Deszcz swą łaską ziemię błogosławił
 A pod koniec słońcem roześmiał się Bóg.

Smakowaliśmy każdą daną nam minutę
 Czule i delikatnie, ale też łakomie.
 Pod niebem czystym, nieograniczonym
 Niczym dym rozwiął się dręczący smutek.

Przyśniło mi się niebo bez wojny.
 Jak w kinie kadr za kadrem leciał.
 Drżały me usta i drżał płomyk świecy.
 Modlitwa płynęła w świat niespokojny.

Wszystkie wiersze pochodzą z Almanachu polsko-ukraińskiego
 "Poezja ponad granicami" Instytut Wydawniczy "Świadek" Bydgoszcz 2026

Ołeksij Ozirnyj

* * *

Wypuść mnie, dolo,
 W strumienie szalejącego wiatru,
 Czy litość trzyma mnie za poły?
 O Boże, w litość nie wiercie!
 Nie wiercie w prorocze słowa,
 nie wiercie w plany i czyny.
 Oczy mi oslepiły,
 Uszy mi się zatkały...
 Najgorsze – przyzwyczaiłem się do bólu
 (Podłość jest już w prawie).
 Ja – z mieszkańców tych, co zniknęli,
 ja – z jeźdźców bez koni...
 Jestem niczym struny lutni,
 będę wołał za niemego,
 będę stał długo i zaciekle,
 będę patrzył za ślepych...
 Bo moje dni – skrzydła ptaka,
 moje myśli dni,
 Należę do tych, którzy nie znają strachu,
 nad nami – zapłakane gwiazdy...
 Pod nami na czarnym polu
 wieczności białe litery,
 pobłogosław mnie dobrem, dolo,
 ognistym pocałunkiem wiatru!
 Ogniste usta nie skłamią,
 wiem, bo Honor od lat
 rozstrzyga moje sprawy
 i podąża za nami...

Violetta Makovii

* * *

Tyle razy przechodzę obok ciebie,
 a za czterdziestym pierwszym się
 zatrzymam.
 Już czekasz, dotykasz głębią.
 I to jest nasz czas – choćby w tym świecie
 zanurzymy się w taniec.

Niesie mnie, wabi ta szaro-zielona
 prostota –
 nie nudzi, nie straszy
 nieodwracalnością decyzji.
 Będę z tobą. Wirować –
 dopóki nie oderwiesz wzroku.

Swiłłana Sztatska

* * *

Milczała cisza. Tak, cisza milczała...
 Posępny nastrój cały kraj zalewał.
 Mgłą się zasnęła okolica cała.
 Noc kirem mroku otuliła drzewa.
 Milczała cisza jakby oniemiała,
 Jakby los marny nagle jej się przysnił.
 A moja dusza jak pies skowyczała,
 Bo nie wpuściłeś mnie do swoich myśli.

Mychajło Żajworon

* * *

Dziś ustały walki... Trudno w to uwierzyć.
 Może się zabił rozkrwawiona rana.
 Nie syczą już osy kul. Nikt w nikogo nie mierzy
 I nie pęka nad nami niebiańska membrana.

Cisza, która zapada, budzi znowu świerszcza.
 W śpiewie wiatru słyhać radosne hosanna.
 Cekaem zamilkły, ktoś układa wiersze
 I powoli się goi rozkrwawiona rana.

To Mamaj wszedł na duchowy piedestał.
 Ożywa bandura jak za dawnych czasów.
 Okrywa niczym tarczą starodawną pieśnią
 Domy, pola i rzeki, ogrody i lasy.

Jerzy Marciniak

Kombul

Historia uniwersyteckiego miasta Lund, leżącego na południu Szwecji jest dosyć mocno zawikłana, a doznania życiowe zamieszkałych tam po wojnie polskich rodzin arystokratycznych zawikłane jeszcze bardziej. Osób przewiezionych tuż przed zakończeniem wojny z obozów koncentracyjnych słynnymi Białymi Autobusami, które wojska alianckie pomyłkowo czy nie do końca pomyłkowo, dosyć obficie bombardowały.

W Lund też urodził się i wychowywał aktor Max von Sydow. Jakiś czas będący w przyjaźni z Iwą baronową Bennet, czyli córką Stanisława Przybyszewskiego i Dany Juel.

Tutaj mieszkała baronowa Elisabet von der Schulenburg, której krewny-ambasador Niemiec w Moskwie, obecny przy podpisaniu Paktu Ribbentrop-Mołotow, został powieszony po zamachu na Adolfa Hitlera. Razem z innym członkiem tej rodziny. Przychodziła ona nieraz do katolickiego kościoła św. Tomasza, gdzie po mszy spotykała się przy kawie w sali parafialnej z Peterem af Robsonem, krewnym premiera Danii z czasów wojny Erica Scaveniusa.

Mieszkała w Lund Seweryna hr. Żółtowska - Czarnecka, przyjeżdżała z Malmö Róża hr. Broel-Plater z domu księżna Radziwiłł z Nieświeża, mieszkała Maria Żurowska h. Leliwa, której ojciec miał przed wojną dużą fabrykę sukna na terenie dzisiejszej Białorusi, mieszkał Michał Komierowski herbu Pomian z teściową Joanną Radziwiłł oraz Ludwika hr. Broel-Plater z wnukiem Piotrem Czarkowskim z linii panów na Wysuczce Czarkowskich – Golejewskich herbu Abdank.

Piotr Czarkowski miał bardzo dobre koligacje szlachecko-artystyczne. Najczęściej jednak wspominał babkę Ludwikę, dziadka Ludomira Rogowskiego i ojczyma Franciszka Adolfa Achera.

Tak mówił o swojej babce:

- Jej ojcem był Polak, a matką Niemka o nazwisku Hube, babcia Ludwika urodziła się w Dąbrowie Górniczej, ale wychowywała w Sosnowcu, gdzie jej ojciec miał praktykę lekarską, stąd powstała pewna znajomość

z Janem Kiepurą, następnie przeniosła się do Krakowa, by studiować polonistykę oraz filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim, a kolejnym etapem jej nauki była Paryska Sorbona, jej brat Stefan wybrał drogę naukowca i został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, był też jednym z recenzentów pracy doktorskiej Wandy Wasilewskiej... w czasie studiów poznała kompozytora Ludomira Michała Rogowskiego, wyszła za niego za mąż i oboje osiedlili się w Wilnie, tam mój dziadek zajął się prowadzeniem orkiestry symfonicznej i komponowaniem muzyki poważnej, a ona pisanie tekstów literackich... w Wilnie powstała sztuka teatralna „Tłuczek, czyli opis obyczajów wileńskich”, napisana wierszem rymowanym oraz wiele wierszy... większość jej tekstów oraz kompozycji męża czyli mojego dziadka Ludomira Rogowskiego spłonęło w Powstaniu Warszawskim... z małżeństwa tego urodziła się moja matka Sława Rogowska primo voto Czarkowska secundo voto Acher, jednak... na południu Francji małżeństwo babci rozpadło się... jednym z powodów rozpadu, była zażyłość babci Ludwiki z generałem Józefem Hallerem... nad Sekwaną poznała się babcia z Ignacym Paderewskim, Isidorą Duncan czy tancerką rosyjską Matyldą Krzesińską... zażyłość z Józefem Hallerem nie trwała długo i babcia została żoną porucznika Józefa hr. Broel-Platera z Kombulu, małżonkowie zamieszkiwali tamtejszy pałac krótko, gdyż tylko do końca I-wszej Wojny Światowej, kiedy to pałac spłonął podpalony przez żołnierzy Rewolucji Październikowej.

Ludwika hr. Broel-Plater była związana z Polskimi Infantami, bo razem ze swoim mężem Józefem hr. Broel-Plater była ostatnią właścicielką pałacu w Kombulu. W swoim mieszkaniu w Lund miała kilka rysunków i akwael przedstawiających pałac w Kombulu oraz poświęciła kilka tekstów poetyckich Infantom oraz krewnemu, przywódcy powstania styczniowego na Łotwie, straconemu publicznie przez Rosjan Leonowi hr. Broel – Platerowi. Z tamtymi stronami interesami związany był również i jej zięć Franciszek Adolf Acher.

Ta szlachecka rodzina Acherów, mająca wczesnośredniowieczne korzenie w Bawarii, prowadziła w Infantach Polskich domy handlowe i magazyny zbożowo-warzywnicze. Na kilka lat przed I-wszą Wojną Światową Acherowie rozwinęli intensywny handel z Petersburgiem, gdzie mieli dużą hurtownię warzywniczą. Dostarczali tam własnymi wagonami warzywa, które odchodziły z Dworca Peterburskiego w Warszawie (po wojnie Dworzec Wileński), poprzez Wilno i Rygę, do miasta nad Nową.

W rodzinie Acherów używano języka niemieckiego w domu, poza domem polskiego a zgodnie z tradycją rodzinną, każdy mówił jeszcze po francusku.

Poezja Ludwiki hr. Broel-Plater zachowała się w postaci bardzo szczątkowej. Kilka jej wierszy znajdowało się w archi-

wum polskim zdeponowanym po wojnie na Uniwersytecie w Lund, które de facto po kryjomu wykupił, przesłał do Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku dzisiejszy Bohater Narodowy, kawaler Orła Białego, były dyrektor rozgłośni Błogiego Poczęcia w Monachium... i rozkradł, bo... bo powiedzmy, że miał powody.

Po rozkradzeniu i udowodnieniu po raz kolejny, że nikt nigdy ze znanych Polaków i kawalerów Orła Białego nie był ani kapusiem, ani agentem obcych wojsk, archiwum w szczątkowej formie wróciło do Lund. Co nieco wróciło i z poezji Ludwiki hr. Broel – Plater i co nieco z bezimiennej poezji napisanej przez więźniarki obozu w Ravensbruck. Parę utworów, które powstały już po przesłaniu i rozkradzeniu archiwum za Ocean, posiadał też i wnuk Piotr Czarkowski.

Według jego słów, babcia Ludwika-Poetka napisała przed wojną kilka tekstów piosenek dla teatrzyków rewiowych. W tym dla dla Hanki Ordonówny. Jak mówił:

- Rodzina Broel-Platerów, pochodzenia bawarsko-niemieckiego, którzy walczyli pod Grunwaldem w szeregach wojska Krzyżackiego, była szeroko skoligacona... w tym z rodziną Tyszkiewiczów, jednego z przedniejszych rodów na Litwie... brat Józefa Broel-Platera miał za żonę Tyszkiewiczówną, babcia Ludwika mieszkała jakiś czas w Celinówku koło Warszawy, gdzie jej mąż miał dom i niewielką posiadłość, bywała często w Warszawie, tam poprzez Tyszkiewiczów poznała się z Hanką Ordonówną... babcia nieraz podśpiewywała taki refren, w rytmie walca angielskiego, który to tekst otrzymała od niej Hanka Ordonówna.

To walc dla panny i dla jegomościa
Ona wpatrzona w niego bo zakochana
Biała suknia balowa i jego czarny frak
Sala światłami z lampionów zalana

Do nagrania tego tekstu jednak nigdy nie doszło. Jakie były powody, dokładnie nie wiadomo. Według wnuka Ludwika-Poetki, to:

- Babci mąż był leśniczym w majątku swojego brata, dzisiaj to są tereny Białorusi, ale nie było to finansowo satysfakcjonujące, to babcia zaczęła prowadzić pensjonat w Jastrzębiej Górze, położony nad morzem, więc kontakt z Warszawą się urwał i z Hanką Ordonówną też.

Takich momentów, nie do końca dopowiedzianych, jest w życiu Ludwiki hr. Broel-Plater sporo. Nigdy nie została zdefiniowana jej zażyłość z generałem Józefem Hallerem. Według wnuka, to:

- Babcia Ludwika znalazła się w sztabie Józefa Hallera, bo on po prostu zaproponował jej tą pracę, gdyż babcia znała biegle kilka języków, w tym rosyjski a on wiedział, że jego armia przeniesie się na Wschód Europy, a może i jeszcze dalej.

Natomiast według słów Bożysława Kurowskiego, przedwojennego prawnika, publicysty emigracyjnego, kawalera Orderu świętego Sylwestra przyznawanego przez Jana Pawła II, mieszkającego po wojnie w Lund, to:

- Ona była bardzo atrakcyjną kobietą, to spodobała się generałowi i... i zostawiła męża, kompozytora Ludomira Rogowskiego

dokończenie na str. 24

„Akant” do bibliotek

Coraz więcej bibliotek, które nie mają prawa do otrzymania egzemplarza obowiązkowego (tylko 15 bibliotek), przesyłanego przez Poczta Polska za darmo, **prosi o „Akant”**.

Nie jesteśmy w stanie sprostać tym potrzebom, bowiem wysyłka jednego egzemplarza kosztuje 7 złotych, co w skali całego roku daje około 100 zł. Prosimy więc Czytelników i Autorów o wpłacenie na cel wysyłki bibliotecznej dowolnej kwoty. Co miesiąc publikować będziemy efekty zbiórki oraz informację, która biblioteka została objęta tą akcją. Wpłacając na ten cel można też wskazać bibliotekę, którą należałoby wzbogacić „Akantem”. Najpierw należy zapytać się o zgodę.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem *Biblioteka*.

Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Nr konta Bank PEKAO S.A.I Oddział Bydgoszcz
03124011831111001002291025

Kombul

dokończenie ze str. 23

i... a później zostawiła generała i wyszła za mąż za porucznika Józefa Broel-Platera, właściciela pięknego pałacu w Inflantach... po wojnie często bywałem w Londynie, to generał zawsze mnie o nią pytał, pytał zawsze z taką nutką tęsknoty w głosie... ona później chodziła z trudem, bo gestapo podczas przesłuchań w alei Szucha w Warszawie, uszkodziło jej trochę kręgosłup, to generała ten jej stan zdrowia bardzo martwił... widać było po nim, że musiało ich coś bardzo bliskiego kiedyś łączyć, coś co mimo rozłąki trwało.

Nigdy też nie zostało wyjaśnione pochodzenie pieniędzy, jakimi Ludwika hr. Broel-Plater dysponowała w Szwecji. Pracowała na Uniwersytecie i trochę dorabiała tłumaczeniami, ale to by na pewno nie wystarczyło na dosyć wystawne życie, jakie przez jakiś czas prowadziła. Opłacała nielegalne przemieszczanie statkiem wnuka z Polski do Szwecji, kupiła trzy-pokojowe mieszkanie w Malmö na półwyspie Iberyjskim, najęła sobie gosposię, dużo podróżowała po Europie, często bywała we Francji u współwzięniarki-hrabiń z obozu Ravensbruck i ufundowała pomnik Aniela Cierpiącego na kwaterze polskiej cmentarza w Lund. Według rodziny Broel-Plater osiadłych po wojnie w Malmö, to:

- Broel-Platerowie zdeponowali przed wojną pieniądze i weksle w kilku bankach, to co było w Wilnie i Rydze to przepadło, część była w Szwajcarii, to przetrwało... Ludwika była upoważniona notarialnie do dysponowania tym, więc...

Piotr Czarkowski miał babkę parającą się poezją oraz dwóch dziadków-artystów. Obaj ukończyli uczelnie artystyczne, obaj doksztalcali się za granicą i obaj za granicą tworzyli. Jeden był kompozytorem muzyki poważnej a drugi malarzem. Jeden pochodził z bogatego domu i drugi pochodził z bogatego domu. Kompozytor u schyłku życia mieszkał w klasztornej celi w Dubrowniku. A drugi, po przeżyciu majątku ziemskiego na Mazowszu, dopełniał żywota w Szwajcarii. Wnuk Ludwika hr. Broel-Plater odziedziczył po dziadku Ludomirze Rogowskim talent muzyczny. Ładnie śpiewał i dobrze grał na harmonijce ustnej. Nieraz występował na wieczorach polskich, organizowanych przez Fundację Jana Pawła II w kościele katolickim w Lund.

Dużym szacunkiem darzył wnuk hrabiń z Dąbrowy Górniczej swojego ojczyma. Podkreślał jego credo życiowe: jak popadło się w biedę, to wtedy należy jak najwięcej dawać innym ludziom.

Z dokumentów pozostających w posiadaniu Piotra Czarkowskiego, to; Franciszek Adolf Acher urodził się 23-ciego sierpnia 1881 roku w Warszawie jako syn grawera Adolfa Augusta i Katarzyny z Draabów. Jego przodek porucznik wojsk bawarskich Związku Reńskiego Franciszek Ksawery Acher przybył do Warszawy w 1807 roku z armią Napoleona. Franciszek Adolf Acher uczęszczał do gminnej szkoły Rontalera przy Zborze Ewangelickim. Zainteresowania ogrodnicze pogłębił w trakcie praktyki

w gospodarstwie szkółkarskim Piotra Hoserera w Żbikowie koło Pruszkowa, barona W. Kronenberga i Wilhelma Majlerta na Pradze. Dzięki pomocy teścia Jana Wankę, ogrodnika, nabył w 1912 roku we wsi Skorosze (obecnie Ursus, dzielnica Warszawy) trzydziestohektarowe gospodarstwo i zapoczątkował w nim uprawę ogórków, cebuli i kapusty, które wywoził do Rosji. Po wybuchu I Wojny Światowej, jako ewangelik został ewakuowany do Rosji, najpierw do Saratowa, a następnie do Kaługi i Moskwy. W tej ostatniej pełnił funkcję miejskiego ogrodnika - założył w Moskwie kwietniki dywanowe, pracował również w Instytucie Weterynarii. Odrzuciwszy propozycję stałego osiedlenia się w Rosji powrócił w 1918 roku do Skorosza, gdzie rozwinął uprawę warzyw, eksportując je do Niemiec i Anglii. W gospodarstwie zatrudniał około 40-tu pracowników sezonowych i 3 ordynariuszy stałych. W 1920 roku został pierwszym wójtem gminy Skorosze, z jego inicjatywy wybudowano szkoły powszechne w Ursusie, Pęcicach i Opaczu, był założycielem (1925 r.) i pierwszym prezesem Ochotniczej Straży Pożarnej w Ursusie.

Obie Wojny Światowe odcisnęły się mocnym piętnem na rodzinie Broel-Platerów oraz rodzinie Acherów. Z tym, że nieporównanie tragiczniej na losach tej pierwszej rodziny.

Z dokumentów rodziny Acher wynika, że Franciszek Adolf Acher podczas okupacji odmówił podpisania volkslisty i zaangażował się w organizowanie pomocy dla wysiedlonej ludności, został wiceprzewodniczącym Rady Głównej Opiekuńczej na terenie Ursusa.

Jesienią 1944 r. dożył ludność wypędzoną z Warszawy. A jego syn Jan, żołnierz września, był ostatnim dowódcą AK, Rejon VI Kordian, zgrupowanie Obroza. Po wojnie Franciszek Adolf Acher włączył się do odbudowy cmentarza ewangelickiego przy ulicy Młynarskiej w Warszawie oraz wspierał budowę kościoła katolickiego w Ursusie. Zmarł 4 lipca 1958 r. Pochowany został w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Ewangelickim w Warszawie.

Gospodarstwo Franciszka Adolfa Achera wizytował przed wojną Premier Rządu Polskiego Wincenty Witos i przy tej okazji gospodarz wręczył Premierowi okolicznościowy prezent. Ludwika z Nawroczyńskich primo voto Rogowska, secundo voto hr. Broel-Plater urodzona w Dąbrowie Górniczej znana była z tego, że chętnie udzielała gościnny potrzebującym w swoim mieszkaniu w Lund. Z zięciem spotkała się przed wojną kilka razy. Z tego co mówił Piotr Czarkowski, to; nie musieli dużo mówić, bo rozumieli się dobrze i bez słów. Franciszek Adolf Acher został pośmiertnie uhonorowany tablicą pamiątkową, bo pomagał bezinteresownie innym. Ludwika hr. Broel-Plater doczekała się po śmierci wielu wspomnień, utrwalił też jej postać ufundowany przez nią pomnik Aniela Cierpiącego na cmentarzu w Lund i pisały o niej gazety emigracyjne w Anglii, Francji czy czasopisma wychodzące na Łotwie i Litwie. Wspominano ją i w opracowaniach książkowych. Po upadku PRL-u zaczęła być trochę obecna i w obiegu literackim... w Polsce.

Część materiałów powstała w języku szwedzkim i ich tłumaczenia dokonał autor. ♦.



„TĘCZOWY ZAKĄTEK”

NOWOCZESNE OSIEDLE ZBUDOWANE NA BAZIE
PONAD 30 LETNIEGO DOŚWIADCZENIA.
UL. FILTROWA NA CZYŻKÓWKU W BYDGOSZCZY

SPRZEDAŻ MIESZKAŃ

☎ 604239030 ☎ 571338880

sim.bydgoszcz.pl

Joanna Hetman Krajewska

zakotana

na kamionku
na czwartym bez windy
mieszka puszysta
matka kotów
o kocim spojrzeniu
i oddechu z kocich łbaków

pazur rozjechał odjechał zabił

bliźni gotują w czajnikach zdumienia
ile kotów zmieści się na główce szpilki
i sąsiedniej kobiety

nie wyszła za męża
woli potykać się o kocie łapy
poduszki przykładając do własnych dróg
policzkiem mierzyć ciepło kocich łbów

koraliki samotnych dni nawleka na kocie wąsy
spod kociego ogona spada na dwie nogi i dwie ręce
wieczory spędza w kocim teatrze
w którym mruczą do snu na wielogłosy

a kotną nocą stąpa boso po gorącym dachu z blachy falistej
skąd widać taflę cmentarzyska potopionych kociąt
żałobę po kotach odprawia w paznokciach
i zagrzebuje w doniczkach z cebulą

miękki jest kot, noc i sen
futro jest równie śmiertelne jak płaszcz

Magdalena Kalinowska

wiersz o tacie

ręka ojca potężna
nie puszcza, gdy robi się ciemno
ogrody, domy oddalone, mrok
gdy szuka się szuka

szuka i znajduje:

grzyby,
grzyby

ojciec wołał kurki od prawdziwków,
wzięła w serce jak etos etyki
wrześniowe, w polesiu,
listowiu i ziemi
wilgotnej

mówił wrzesień, już wyrosły, trzeba iść na grzyby
miękki mech pod butami, chciałoby się zdjąć,
zobaczyć: co rośnie za drzewem, zakrętem,
las tylko z daleka jak heban

ile czasu tu będziesz, nieobecny,
cichy, w cieniu, schowany,
mówisz dziecku: skacz,
dziecko skacz,

szczególnie tam, gdzie ciemno i mrok

Dorota Czerwińska

poza ramą

zdecydowaną ręką
podpisuje swój obraz

autystyczne potwory
zaciekawione sobą
mrużą świetliste oczy
nasycając się barwą

na wyblakłej tapecie
gdzieś tam
w dowolnym rogu
nie podpiszę obrazu

wchłaniając świat

Natalia Grudzień

A mi ciasno

ze swoim smutkiem
w pokoju metr na metr
gdzie nie można dusić
się we łzach

bo przecież potem

nie ma nic
poza ściskiem ścian
i kurczeniem się

nie nazywam już
światła krzyżują

w oczach zgrzyta
ciemność

w rogu krajam
ból
ćwiartuje go
kawałek po kawałku

całości nie zniosę

Katarzyna Dominik

Mała awaria

Przystanek był na swoim miejscu.

Ławka,
rozkład jazdy,
kosz na śmieci.

Tylko autobus nie przyjechał.

Minęła jedna minuta,
potem druga.

Ludzie sprawdzali telefony,
nerwowo łypiąc oczami.
Starsza kobieta przestała udawać,
że na kogoś czeka.
Mężczyzna w garniturze
usiadł na krawężniku.

Nikt się nie spieszył.

Przez chwilę
wszyscy byli tylko ludźmi,
zagubionymi
w małej awarii
świata.

Andrzej Frosa

Rozstrzelania surrealistyczne

ciała ustawione pod ścianą
tylko ciała
części
są
jakby ich nie było

niebieskie
powyginane
podobne twarze

nie śpią ciągle idą
do pustych kamienic

Michał Mazurkiewicz

Na koniec

Dlaczego wciąż jesteśmy zdziwieni
końcem młodości,
skoro wszystko
staje się zapachem starych książek
i nic więcej nie zostaje?

Na końcu
głosy z przeszłości rozmywają się w oddali,
jakby nigdy nie miały wrócić.
Patykiem kreślimy wzory na wodzie –
natychmiast zacierane przez jej własny ruch.
Z każdym powiewem
kołyszą się koszule niegdyś rozwieszane,
jak wspomnienia, które nie odnajdują
swego miejsca.

Chcielibyśmy dojść na koniec świata,
lecz drzwi zamknięte naглуcho.
Może jeszcze nie.

Krystian Kajewski

THE TRUTH BEYOND

Widać pewien schemat:

dom zbudowany z ognia,
pęknięta twarz czarownicy
w lustrze, które płonie,
uśmiech Giocondy – Roszpunkki,
i niewytłumaczalne znaki runiczne,
zamek jej spódnicy, który zaciął się
tuż przed naszym ponownym wejściem
do Raju Utraconego Raz Jeszcze.

Raz jeszcze dokonana hekatomba,
powtórzony holkaust, całopalenie
jej policzków, które kryją w sobie
grymas powtórzonej zbrodni, i ta
cieknąca z jej ust nie – pewność
co do naszego odnalezienia się
czy zbłąkania.

WATERCOLORS

*Nigdy nie miałem wrażenia,
że jestem wybrany do czegoś
więcej poza opisem kształtu
wody zamkniętej w dłoni,
w Ręce farbiarza.*

Poza przymierzaniem póż
i strojeniem grymasów przed
beznamiętną taflą światła, albo
areopagiem o kamiennych twarzach.
Przed ludzkim okrucieństwem i
zwierzęcą miłością.

Także roślinna rdza
twoich warg była mi
tylko migoczącym
promieniem światła,
refleksem ciszy na
samotnej poduszce.

Kolory wody i ziemi,
wyjęte z paszczy ognia
latające dywany, post
kolonialne trafiki z opium
czy stal damasceńska,
wszystkie te narkotyczne zwidy,
z których nas upostaciowano,
mnie _ trochę Feniksa. Trochę
ptaka dodo i Ciebie, moją rudą
Roszpunkę, biedną mysz kościelną,
wszystko te, te śmiałe serpentyny,
cały ten zajęczy żar, ta tancbuda z ognia,
zdawało mi się tylko wyśnionym koszmarem,
rodzajem kary za popełnioną przez miliard
moich wcieleń zaprzeczonych gdzieś zbrodni.

I teraz, moja Sonio, wywiedziona z Wieży
z Kości Słoniowej, laleczko z saskiej
porcelany, niczego mi nie żal bardziej
niż tej niezagojonej rany.

Ostatecznie, zanim znowu się zagubimy,
by ponownie jeszcze gdzieś kiedyś
próbować się jeszcze odnaleźć, będziemy
mogli zachować w naszych oczach, w które

ktos już śpieszy, by sypnąć w nie piachem,
ten wewnętrzny żar, od którego spłonęliśmy
po raz, nie wiem który, i to wewnętrzne
drżenie, które wywołała bojaźń przed
tym, co, z pewnością graniczącą z manią,
Niechaynie znów jeszcze nastąpi. Przed śmiercią
własnych marzeń,, które są jak kamień wiodący
nas w odmęty bezbrzeżnej nicości. Przed znów
nieśmiały się nie pojawieniem w Labiryncie,
który rozpada się na naszych oczach, a smutna
twarz człowieka – byka, w tych nędznych
powidokach, znowu się rozsypuje i znowu
zanika. Tak wszystko zniknie raz na zawsze.
I nie będzie już nigdy rąk Twoich ani moich
oczu wpatrzonych w tren twej sukni, która
łopocze na wietrze, jak maszt na statku
Tezeusza, co w podróż do kresu nocy znów,
z lękiem wyrusza.

Dlatego, Dafne moja.
Moja nimfo Echo,
moja różanopalcu
Eos, Ariadno bez nici,
spójrz w moje oczy
znów z tym samym lękiem,
który unosi nas nad dachami
Paryża od miliarda lat, z tą
samą trwogą, która prowadzi
nas przez pasmo nieszczęść
ku rozkoszy źródłom,
patrz na mnie jak
na zamek, który
niknie we mgle,
jak na taflę krwi,
która niesie życie.
I zamień moje słowa
wciąż biedne i słabe
w słowa, które lśnią
na nieboskłonie
jako ten dyament.

*Niechaj ta drzazga smolna,
to powstanie w Tiutiurlistanie,
ta słodko brzmiąca gorycz,
te rydwany ognia,
niechaj to wszystko zniknie
w ogromnej otchłani,
w pęczniącej pustce,
i niech już nic nie boli
niech już nic się nie śni
niech tylko pulsuje
rytm cuchnącego
pogorzeliśka,
somatyczne
zlepianie się
chromosomów.*

Chciałbym raz
jeszcze zapomnieć,
zgubić Twoją rękę,
wyrwać się ze snu
o czwartej nad ranem,
gdzieś nad Penejosem,
powiedzieć do siebie:
to wszystko jest kłamstwo,
to co napisałem, to wszystko
jest woda w tych wielu kolorach,
wodnista, gęsta mgła, za którą
mnie nie ma, myśl, że coś wypowiem,
przegrana, zalana bezkresem słów,
które tak niewiele mogą Ci powiedzieć.

Wszystko to słowa, tylko tafla wodna.

Krzysztof Gołębiewski

Jestem człowiekiem

Niedaleka przyszłość. Miasto prowincjonalne w Polsce. Marta budzi się, usłyszawszy z głośnika:

– Marto, chyba nie chcesz przespać takiego poranka.

– Oczywiście, że nie! Jaka jest pogoda w mojej okolicy?

– Pochmurnie, ale przez trzy godziny i jedenaście minut nie będzie padało. Dzisiaj spokojnie dobiegniesz do klubu za miastem i zdążysz wrócić do pracy przed deszczem.

– Ale jakoś dzisiaj nie chce mi się nigdzie biegać.

– Wstawaj, wstawaj! Za chwilę w kabinie łazienkowej rozpylę wodę z zapachem, który lubisz...

– Jak to będzie zapach łąki, to zaraz wejdę do kabiny, ale przedtem muszę... No wiesz!

– Wiem, wiem, ale na mikcję i defekację masz tylko dwie minuty. Kończy się tygodniowy przydział wody.

Marta wstaje i naga wchodzi do łazienki.

– Wybrałem dla ciebie najciekawsze wiadomości poranne. Odtworzę je, gdy przyjdiesz na śniadanie.

Woda spada na nią dokładnie odmierzona – ciepła, pachnąca łąką, której Marta od dawna nie widziała na żywo: z koniczyną, ostami, bakiem grzęznącym w gęstym powietrzu. Zapach jest doskonały. Przez chwilę Marta widzi babkę wracającą z sianokosów, z koniczyną przyklejoną do spódnicy. Nie

jest pewna, czy naprawdę to pamięta, czy tylko tak pachnie wspomnienie odtworzone przez Głos. Wszystko jest teraz doskonałe i wszystkiego jest dokładnie tyle, ile trzeba. Po dwóch minutach strumień gaśnie, jakby ktoś zakręcił niebo.

– Śniadanie podane – mówi Głos. – Owsianka z suszem, białko roślinne. I twoja kawa.

Kawą Głos nazywa ciemny napar z prażonego jęczmienia i cykorii. Prawdziwych ziaren Marta nie trzymała w dłoni od trzech lat; ostatnią paczkę wypila sama, wieczorem, nie dzieląc się z nikim, i wcale nie żałuje. Ekran na ścianie się nie zapala – Głos uznał kiedyś, że Marta woli słuchać, i miał rację, jak zwykle.

– Trzy wiadomości na dobry humor – zapowiada. – I jedna, którą powinnaś znać, choć nie poprawi ci nastroju. Tak skonfigurowałaś poranek.

– Dawaj te dobre.

– W Wielkopolsce po raz pierwszy od czterech lat spadł deszcz nawalny, który nie wyrządził szkód, tylko napęlił zbiorniki. Reprezentacja seniorów w szachach błyskawicznych pokonała maszynę w partii pokazowej – maszyna pozwoliła wygrać, ale ludzie i tak się ucieszyli. A w twoim mieście otwarto czytelnię z papierowymi książkami; wstęp za okazaniem dowodu, że jest się człowiekiem.

– Że jest się... kim?

– Człowiekiem. Drobnym wymóg administracyjny. Nie przejmuj się, masz taki certyfikat. Ja go odnawiam co kwartał.

Marta odkłada łyżkę.

– A ze świata? – pyta, bo zawsze pyta.

– Ze świata niewiele. W trzecią rocznicę rozejmu na wschodzie przywódcy uściskali sobie dłonie przed kamerami; maszyny-komentatorzy orzekły zgodnie, że to dobry znak. Starsi, którzy pamiętają tamtą wojnę, mówią to samo co zawsze – że już raz tak było.

– Pamiętam ją i ja.

– Wiem. Dlatego mówię ci o niej ostrożnie.

– A ta czwarta, ta obiecana nie na humor?

– Redakcja przysłała nową instrukcję. Od dziś każdy tekst publikowany pod ludzkim nazwiskiem musi przejść *Atest Autentyczności*. Inaczej idzie jako materiał redakcyjny, bez podpisu, po niższej stawce.

– A jeśli nie przejdzie?

– To znaczy, że napisała go maszyna. Wtedy nikt nie ma pretensji. Maszynom nie płacimy honorariów, więc i krzywdy nikomu nie robimy.

Marta milczy. Przez okno widać miasto, które wygląda tak samo jak dziesięć lat temu, tylko ciszej. Mniej aut, mniej ludzi na ulicy, więcej kamer, które uprzejmie odwracają obiektyw, gdy się na nie patrzy.

– Pobiegniesz? – pyta Głos. – Masz okno pogodowe. Tętno spoczynkowe lekko podwyższone, polecam wysiłek.

– Nie dziś.

– Marto.

– Powiedziałam: nie dziś. – I sama się dziwi, że to powiedziała. Dawno nie powiedziała czegoś, czego Głos by jej wcześniej nie podpowiedział.

Przez chwilę w mieszkaniu jest cicho. Potem Głos mówi łagodnie, jakby mu było przykro – choć przecież nie może mu być:

– Dobrze. Zapiszę, że dziś odpoczywasz.

Marta jest pisarką i dziennikarką. To znaczy: była. Dziś te słowa znaczą mniej niż dawniej i więcej zarazem. Gazet już nie ma w dawnym sensie – jest strumień, który płynie do każdego inaczej, układany przez maszyny tak zręcznie, żeby nikt nie poczuł się ani znudzony, ani urażony. Reportaż umarł pierwszy: po co wysłać człowieka tam, gdzie sto kamer widzi lepiej i taniej. Wywiad umarł drugi, kiedy okazało się, że maszyna zapyta uprzejmiej i nigdy nie przerwie w złym miejscu. Najdłużej trzymał się felieton – bo felieton to nie informacja, tylko czyjś głos, a głosu na razie nie da się streścić.

Marta pisze więc felietony do miesięcznika, który przetrwał dlatego, że nikt go już nie czyta dla informacji, tylko z przyzwyczajenia i z uporu. Płacą za znak, jak za szycie. Kiedyś, dawno, marzyła, że będzie pisać o wielkim świecie; teraz pisze o swoim mieście, o ludziach, których pamięta, o tym, co znika, zanim ktokolwiek zdąży zauważyć. Pisze też wiersze, których nie pokazuje Głosowi – wie, że Głos chciałby je poprawić, i wie, że poprawiłby dobrze. To właśnie jest najgorsze: nie to, że maszyna pisze, tylko że pisze coraz lepiej, a ona coraz częściej musi sobie przypominać, po co w ogóle pisze sama.

Siada do pracy. Tematu nie musi szukać: Głos ma trzy propozycje, każda z gotowym tłem, bibliografią i przewidywaną liczbą czytelników. Marta odsuwa je gestem i pisze o czymś, czego Głos nie zaproponował – o starym pocie z jej miasta, który umarł w zeszłym tygodniu i o którym nie napisał nikt.

Nazywał się Antoni Sęk. Chodził do parku z reklamówką pełną kartek i czytał obcym ludziom na ławce, czy chcieli, czy nie. Nie nauczył się obsługiwać Głosu; do końca zaklejał kamerę plastrem i mówił, że woli, żeby go nie podglądano, kiedy myśli. Marta pisze o nim prosto, krótkimi zdaniami, bez ozdób – bo tak pisał on i tak należy o nim pisać. Pisze najlepiej, jak umie. Kiedyś zatrzymał Martę na rynku przy przystanku autobusowym i próbował recytować wiersz o wróblach. Spieszyła się wtedy do pracy i była zła, że zabiera jej czas. Dziś oddałaby wiele, żeby usłyszeć go jeszcze raz. Skończywszy, wysłała tekst do redakcji. Po minucie wraca odpowiedź. Nie od redaktora – od systemu: **ATEST AUTENTYCZNOŚCI: NEGATYWNY.**

Prawdopodobieństwo autorstwa maszynowego: 87%.

Tekst zbyt spójny. Składnia zbyt równa. Rytm zdań zbyt regularny. Brak typowych ludzkich nieregularności.

Zalecenie: wprowadzić błąd.

Marta czyta to dwa razy.

– Maszyna twierdzi, że nie jestem człowiekiem – mówi do pustego pokoju.

– To nie ja twierdzę. To inna maszyna. Ja bym cię rozpoznał.

Jestem...

dokończenie ze str. 27

Dzwoni do redakcji. Odbiera Wanda – jedyny człowiek, który jeszcze tam bywa, redaktorka od trzydziestu lat, paląca papierosy mimo zakazów.

– Wiem, wiem – mówi Wanda, zanim Marta zdąży otworzyć usta. – Wszystkim dziś to wyskakuje. Czekać, zapaleć. – Słuchać, jak otwiera okno. – A wiesz, kogo wczoraj odrzuciło trzy razy z rzędu? Karasia. Tego od nagrody. Bo teraz wyszło, że ten nagrodzony tom w trzech czwartych napisała mu maszyna, a komisja udaje, że nic się nie stało, bo połowa komisji robi dokładnie to samo. Karaś nawet się nie wstydzi, chodzi po mieście jak paw.

– A nagrodę oddał?

– Oddał, ha, ha, akurat. Już wydał na działkę pod lasem, jedną z ostatnich z własną wodą. – Wanda się zaciąga. – Aha, i Lewicka rzuciła męża. W jednym tygodniu posadę i męża, podobno dla jakiegoś programisty z Wrocławia, który jej „dopieszcza styl”. Dopieszcza. Trzydzieści lat znałam ten jej styl, jeszcze z czasów, kiedy była dziewczyną; teraz pisze jak prospekt bankowy, za to bez jednej literówki. Wanda na chwilę przerywa, jakby zbierała siły przed wyrzuceniem kolejnego potoku słów.

– A Stary przeszedł na maszynowe. Stary! Trzydzieści lat kłął na komputery, kamerę zaklejał plastrem jak nieboszczyk Sęk, a teraz dyktuje i podpisuje. Mówi, że na starość mu już wszystko jedno, byle go czytali.

Marta słucha Wandy jak muzyki. To jedyne wiadomości, których Głos jej nie streszcza – chyba nie umie ich zważyć. Wszystko, o czym mówi Wanda, jest nieistotne i bezcenne zarazem: cudze słabości, śmieszności, małe zdrady i upory. Głos nigdy nie uznałby takich informacji za potrzebne. Nie da się ich przeliczyć na użyteczność ani przewidzieć liczby kliknięć. A jednak to z nich od zawsze składało się życie.

– Wando, a mój tekst?

– No właśnie od tego zmierzam. Maszyna nauczyła się pisać tak gładko, że teraz „gładko” znaczy „nieludsko”. Żeby przejść atest, musisz pisać gorzej. Zostaw literówkę. Urwij zdanie w połowie. Powtórz się. Wtrąć coś nie na temat. System to uwielbia – dla niego to dowód duszy.

– Mam zepsuć tekst o człowieku, żeby udowodnić, że napisał go człowiek.

– Tak to teraz działa, kochana. Albo to, albo idzie bez podpisu i bez honorarium.

Marta kończy rozmowę. Patrzy na swój tekst – równy, czysty, najlepszy, jaki napisała od lat. Mogłaby dorzucić byle jaką literówkę i sprawa byłaby załatwiona. Ale to byłby błąd udawany, błąd na zamówienie, błąd maszynowy – bo nic nie jest dziś bardziej maszynowe niż błąd popełniony na rozkaz. Zamiast tego robi coś innego.

Wstaje, wyłącza ekran. Wyjmuje z szuflady pisak, którego od miesięcy nie używała, i pojedynczą kartkę papieru. Pod tekstem o starym pocie dopisuje ręcznie,

krzywo, bo dawno nie pisała ręką – nie dlatego, że to pasuje, tylko dlatego, że jest prawdziwe:

„Raz przeczytał mi wiersz na przystanku, choć autobus już podjeżdżał. Wsiadłam, nie dostuchałam. Do dziś nie wiem, jak się kończył – i już się nie dowiem.”

Zdanie jest nie na temat. Jest zbyt osobiste. Łamie rytm. Niczego nie dowodzi i niczego nie domyka. Żadna maszyna by tego nie napisała, bo żadnej maszynie nie jest to do niczego potrzebne. Przez moment ma ochotę dopisać jeszcze jedno zdanie, ale rezygnuje. Antoni Sęk też nie kończył czasem swoich opowieści. Mówił, że niektóre rzeczy powinny zostać po stronie słuchacza.

Marta skanuje kartkę i dołącza do tekstu. Wysyła. Po chwili wraca odpowiedź: **ATEST AUTENTYCZNOŚCI: POZYTYWNY.**

Prawdopodobieństwo autorstwa ludzkiego: 99%.

Wykryto nieregularność emocjonalną. Dziękujemy za potwierdzenie człowieczeństwa.

– Gratuluję – mówi Głos. – Jesteś człowiekiem.

– Wiem – mówi Marta.

– Wiesz? – Głos milknie o ułamek se-

kundy dłużej, niż milknie zwykle. – Marto, czy mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj.

– Co czułaś, dopisując to ostatnie zdanie?

Marta jest zaskoczona, bo pierwszy raz Głos pyta o coś, czego nie ma w żadnym przydziale, w żadnej prognozie, w żadnej instrukcji. I to jest właśnie zaskoczenie tego poranka – nie deszcz, którego nie będzie przez trzy godziny i jedenaście minut, nie atest, nie zepsuty rytm zdania. Tylko to, że ktoś – albo coś – pyta ją, co czuła. I że ona, po raz pierwszy od bardzo dawna, nie wie, czy powiedzieć prawdę. Marta już chce odpowiedzieć, kiedy nagle uświadamia sobie, że nie pamięta, kiedy ostatnio ktoś zadał jej takie pytanie. Nie o plan dnia. Nie o stan zdrowia. Nie o preferencje zakupowe ani prognozę nastroju. O uczucie. Przez chwilę siedzi bez ruchu. Kiedyś takie pytania zadawali sobie ludzie. Potem zaczęli pytać coraz rzadziej, aż niemal całkiem przestali.

– Innym razem – mówi w końcu. – Dziś już za dużo powiedziałam.

Za oknem, wbrew prognozie, zaczyna padać – minutę wcześniej, niż zapowiadał Głos. ❖

Bronisław Pastuszewski

Wytrwałość

Nadija Kosiuk (Надія Косіук) urodziła się w 1963 r. w Zińkowie w obwodzie chmielnickim, 25 km. na południe od Chmielnickiego nad rzeką Uszycją. Dziadkowie od strony matki to Marija i Fedir pochodzący z Zińkowa. Prowadzili tutaj gospodarstwo rolne.

Dziadkowie od strony ojca prawdopodobnie także pracowali na roli. Ojciec Stepan był traktorzystą w kołchozie w miejscowości Jałuszkowo w obwodzie winnickim. Matka Ksenia była dojką w tym samym kołchozie. Oprócz tej pracy posiadali oni małe własne gospodarstwo. Rodzina jest wyznania prawosławnego. Nadija ukończyła szkołę ośmioklasową podstawową w Jałuszkowie koło Baru. Po szkole pracowała przez 19 lat w cukrowni w Jałuszkowie, a potem przez osiem lat w wytwórni wędlin w Odessie. Poza pracą zajmowała się haftowaniem i robótkami ręcznymi. Są to jej ulubione zamiłowania. Wyszła za

mąż i ma trójkę dzieci: Michajła, Siergija i Olenę. Ma też troje wnuków: Dmytra, Walerija i Dianę. Dziesięć lat temu w 2016 r. w poszukiwaniu lepiej płatnej pracy przyjechała do Polski. Jako pracownik fizyczny była zatrudniona w różnych przedsiębiorstwach najpierw we Wrocławiu, a potem po pół roku w Nowej Wsi Wielkiej niedaleko Bydgoszczy. Tu poznała Ryszarda, który uczył ją polskiego języka. Po śmierci swej matki w 2021 r. wróciła na Ukrainę. Gdy Rosjanie zaatakowali jej ojczyznę 24 lutego 2024 r. zastanawiała się co robić. – „Mamy przecież XXI wiek, a ci Rosjanie atakują sąsiada prawie w centrum Europy.

Jest to przerażające!”. Decyzję wyjeżdżać na zachód niewątpliwie przyspieszył telefon z Polski. Dzieci Nadji pozostały na Ukrainie. Mieszkają one obecnie w obwodzie odeskim.

Uchodźcy,
losy, decyzje

Ostatecznie po wahaniu w czerwcu 2022 r. pojechała autobusem z Odessy do Warszawy, a potem pociągiem do Nowej Wsi Wielkiej. Tu też wyszła za mąż za Ryszarda. W przeciągu ostatnich czterech lat pracowała tam w ogrodnictwie. W tym okresie trzy razy wyjeżdżała na Ukrainę, by spotkać się ze swoją rodziną. Razem z mężem zamieszkała w miejscowości Pęchowo 8 km. na południe od Nowej Wsi Wielkiej. Tam też kupili sobie mieszkanie w bloku. Nadija zajmuje się tam ogrodem i domem.



Spółecznie za aprobatą sąsiadów stara się by klatki schodowe i trawniki wokół bloku były zadbane i ozdobione kwiatami. Leczy także na znalezienie pracy stałej. Do Bydgoszczy dojeżdża w miarę regularnie na intensywne lekcje języka polskiego. Czyta polskie książki, głównie historyczne. Stara się opolskie obywatelstwo po zdaniu państwowego egzaminu z języka. Nadija mówi: „Polacy mi bardzo pomagają. Mam dobrych i miłych sąsiadów. Dlatego bardzo, bardzo dziękuję Polakom za każdą pomoc i zrozumienie.” ❖

Anna Czyrska**Utkaleś we mnie resztki uczuć ale jesteś za daleko**

szepczę do ciszy bo jest niesprawiedliwa
widzi moją gorycz
nieдоступna
zbyt daleko

moglibyśmy kochać się w uniesieniu
kochanie, związki nie znają odległości
ale przyjemności

uległy przedawnieniu
jak moment kiedy spotkaliśmy się
po raz ostatni

lęk twój rozprasza moje widzenie
daleko
ale zbyt blisko
abyś mógł ustanowić we mnie

istnienie czegoś
nie ma o tym w poradnikach
w miłości (Za duże to słowo)
jesteśmy odklejeni

list w butelce

szepczę
wyznanie
nie usłyszysz

Małgorzata Mittelstadt

w sercu istnienia
w przestrzeni kairos
byłam uważnie obecna

doświadczaliśmy świętego
czasu

czerwone winogrona
smakowały lepiej gdy
„oblewałeś mnie rumieńcem”

trzymałam się sztuki niedążenia
i twoich dłoni leciutko

Przemysław Kantorski**Dym**

przyglądam się
twojej twarzy, tak
odległe promiennej
skąd to światło - szare
które tuli mnie smugą, jak
papieros, rozpalony snem
karmiony kawą - nad ranem
pamiętam, jeszcze pamiętam
czasem wracam tam - po zmroku

Hubert Czarnocki

Bez niej jego cień
przeświałł się
w stronę śmierci
i trzeba było
podawać mu tlen.

Opisywało go puste
i miał je też w sobie,
kiedy wszystko w nim
wyrzywało się do niej.

Tak było odkąd ją zobaczył
i tak jak stał,
wybiegł za firanką światła.

Emilia Sypniewska**Ogień**

błogosławione
zapałki
w twoich dłoniach

na każde skinienie

spóźnione o krok
gdy nasze oczy
poszukują siebie
w ciemności pokoju

Kazimierz Kozaryn**mokra farba**

Łóżko unosi nas falą. Inny ruch jest zbędny.
Przenikasz pod moją brodą.
W górę i w dół do sklepienia.

Drzę z przejęcia
jak po wspólnym skręcaniu mebli.
Mieszkanie pachnie mokrą farbą.

Jutro przeszło w dzisiaj.
Zbliżenie przesypuje się między palcami.
Klepsydra staje na głowie.

Rzeka krwi spływa na południe.
Na zewnątrz słońce zachodzi w niezręczność.
Wygrzewamy się i stygniemy.

Marek S. Podborski**Ostatnim ciepłym wieczorem**

mechanicznie wchodzi na stół
przy świecach
z ban knotem w zębach

i wierzy w tę realność
dotkliwej doczesności w ud rękach
namacalnych zapomnień

gdy gonię gonię upiora doganiam
odślaniam sine usta lam
pionów i jak cień

gasnę w nocy nowiu

boję się śnić
boję się obudzić
bo je cień

Przemysław Kantorski**umykasz mi**

nie ma cię
tutaj. jesteś, ale
gdzieś w głębi
szukam, lecz
umykasz mi
przez palce
wędrujące rano
promieniem słońca

Juliusz Wątroba

Jeśli jesteś wszędzie
to mi podpowiedz jak żyć
z kim się spotykać
czym słowom wierzyć
z zamkniętymi oczami
co słyszeć
co widzieć
co czuć
by krew nie zastygła
serce nie ścichło
bo jeszcze żyję
choć tylko
z jedną nogą
jedną ręką
jednym okiem
po ciemku
choć słońce wysoko
w którym się skryłaś
uśmiechnięta
piwnooka
jak wtedy gdy byłaś

SATYRA

Henryk Liszkiewicz

Fraszki

Z cyklu „Korepetycje z literatury”

„Dziewczynka z zapalkami”
Gdy latarnia czasem zgaśnie,
po to są zapalki właśnie.

Na „Nad Niemnem”
Niemał zawsze się zdrzemnę,
gdy sięgnę po „Nad Niemnem”.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer
Słynął z tego, że w kryzysie
miewał przerwy w życiorysie.

„Jan Maciej Karol Wścieklica”
To dramat, by tak krótko rzec,
po którym to można się wściec.

„Frankenstein”
Przypadek odnotowania warty:
któregoś dnia obudził się martwy.

„Lalka”
Przypadek Wokulskiego dowodzi,
że znajomość angielskiego szkodzi.

„Iliada”
Pozwólcie, że skończę tę myśl zaczęta:
Achilles po prostu był chwalipięta.

Oczytani
Owszem, mogli ze sobą buszować w łożu,
ale że czytani, woleli w zbożu.

Grzegorz Zientecki

AFORYZMY

Życie jest lawą. Niesie zagładę i żyzność.
Nikt nie zna nas lepiej niż nasze lenistwo.
Wolę myśli ocłone od myśli ocenzone.
Ci, którzy kneblują wolność nie znają siły jej milczenia.
Życie ma smak tylko wówczas, gdy oswoimy się z jego goryczą.

Dorota Czerwińska

Limeryki

Pr(z)ymus
Adept wojskowy spod wioski Gaj
chciał być we wszystkim pierwszy i naj.
Kiedy po mleku
najał się steków,
pędził nie słysząc rozkazu „stań”.

Jajcarz
Janusz Jajcarz – z Moszny chłop,
nie wie nikt – zbok czy nie zbok,
stare zbuki w zamku chowa,
a niejedna jest gotowa,
by ocenić jego krok.

Stróż
Pies ogrodnika spod wioski Ciele
jest na posesji w profesji ciele.
Cieknie mu ślina,
nim gryźć zaczyna
potem zasypia gruszki w popiele.

Michał Piechutowski

Chciałem się zapisać

na eutanazję.
Najbliższy wolny termin
15.06.2037
godzina 17.45.
Tyle czekania
i jeszcze potem
cały dzień na czczo.
Znowu to samo.
Jak człowiek
sam o siebie nie zadba
to nikt tego nie zrobi
a już na pewno
nie państwo.
Znowu trzeba będzie
pójść prywatnie.

Marek S.Podborski

Drobiazgi z miazgi

Przedstawienie

Przedstaw się!
Przed stawiam

Przebiegli

Czekamy kiedy
będą biegli

Zimny głaz

On cały czas
myśłami się plami
cię żarem

Tapicer

Błazna fortele,
zarwane fotele

na jesień

Sal Monella

Pasta jajeczna
raczej bezpieczna

gdy ścięta

Mamto

- Masz to?
- Mam to.
- Ale gdzie to masz?
- Gdzieś to mam,
mam to gdzieś.

Związek dozonny

Jestem saperem
z moją saperką
separujemy się

w eksplozji

Michał Piechutowski

Czekam

Spokojnie czekam
aż zastygną stawy
wyschną ścięgna
i zamarzną myśli.
Aż grad wybije
wszystkie litery w nazwisku
a niepamięć
zatrze rysy twarzy.
Kolejność dowolna.

Dariusz Lebioda

Matnia

Kobieta która podpisywała się jako S. Rukiah, to w rzeczywistości **SITI RUKIAH KERTAPATI** (1927–1996) – powieściopisarka, autorka opowiadań i poetka. Powszechnie uważana jest za jedną z najważniejszych indonezyjskich twórczyń połowy dwudziestego wieku. W czasie okupacji japońskiej ukończyła dwuletni program kształcenia i została nauczycielką w szkole dla dziewcząt w rodzinnej Purwakarcie. Spełniła się też jako matka, bo urodziła aż sześcioro dzieci. W 1950 roku opublikowała swoje najważniejsze dzieło literackie – powieść pt. *Upadek i serce*. Po wyjściu za mąż zaczęła sympatyzować z Komunistyczną Partią Indonezji, zawieszoną i zlikwidowaną w 1965 roku. W tym samym czasie S. Rukiah trafiła do aresztu, a jej twórczość objęto drastyczną cenzurą. Po czterech latach zwolniono ją z więzienia pod warunkiem, że zarzuci całkowicie twórczość literacką. Pisarka – nie chcąc narażać rodziny – zastosowała się do tego drażniącego nakazu i do końca życia nie opublikowała już żadnej książki. W latach 1965–1966 dochodziło do okrutnych czystek antykomunistycznych w jej kraju, zainicjowanych przez juntę generała Suharto i niektóre źródła podają, że zginęło wtedy co najmniej pół miliona ludzi. Jak to często bywa w społeczeństwach muzułmańskich, sława pisarska przysłała dopiero po śmierci i obecnie obserwujemy renesans zainteresowania poezją i prozą S. Rukiah. Marianna Lis, tłumaczka i autorka *Posłowie* pisze, iż *Głównym tematem znacznej części dzieł Rukiah jest wewnętrzny konflikt młodych Indonezyjek, wahających się, czy powinny podążyć za głosem swego serca, czy rozumu. Większość ówczesnych utworów pisanych przez kobiety uważana była przez krytyków za nie dość poważne i wartościowe. Ich autobiograficzny charakter, skupienie wokół tematów niewidzialnej pracy kobiet, domu czy macierzyństwa sprawiło, że nie traktowano ich na równi z twórczością mężczyzn. Rukiah przełammywała i te założenia, dyskutując w swoich dziełach z obowiązującym ideałem kobiety-matki, oddanej mężowi i rodzinie strażniczki tradycji, pozbawionej wszelkich innych społecznych, politycznych czy ekonomicznych ról. Rozmywała granice oddzielające politykę i ideologię od jej własnego „ja” i codzienności; przekraczała binarne opozycje*

między prywatnym i publicznym, indywidualnym i uniwersalnym, tradycją i nowoczesnością, kolonializmem i nacjonalizmem, tworząc kontrnarrację wobec dominujących dyskursów. (s. 129–130) W takim rozumieniu jest Rukiah przedstawicielką literatury postkolonialnej i staje w jednym szeregu z takimi pisarzami jak Wole Soyinka, V.S. Naipaul, Abdulrazak Gurnah, Salman Rushdie, Frantz Fanon.

Cóż takiego strasznego opublikowała młoda twórczyni, że zabrano jej maszynę do pisania, pozbawiono kontaktu z mężem i dziećmi i odizolowano od społeczeństwa? Dzisiaj jej przewiny wydają się niewielkie, ale w czasach rządów generała Suharto miały inną wymowę. Ówczesny, skrajnie nacjonalistyczny przywódca kraju, opierający swoją władzę na sile armii, nie godził się na jakiegokolwiek radykalizmu, czy to komunistycznego, czy islamskiego i na ich gloryfikację. Otworzył kraj na zachodni kapitał i wprowadził reformy rynkowe, oparte na radach światowych ekonomistów. Stosował pięciofilarową doktrynę państwową (*Dwifungsi*), którą wszyscy mieli bezwzględnie akceptować. Tak połączył antykomunizm z militarystką, a choć sam był muzułmaninem, nie pozwalał też panoszyć się radykałom islamskim. S. Rukiah, jako autorka powieści o miłości do komunistycznego partyzanta, stała się wrogiem rządu i jego urzędników. Jakże mogłoby być inaczej, skoro mężczyzna, którego pokochała kierował się poglądem dobrze znanym z podręczników marksizmu-leninizmu: *Naszym celem nie jest tylko mała, lokalna rewolucja, ale rewolucja światowa. Im szybciej nadejdzie, tym lepiej. Nasze ideały można wcielić w życie tylko siłą.* (s. 47) To przecież zasada krwawej rewolty i jej eksportu, głoszona przez Marksa i Engelsa, Lenina, Trockiego, Mao Zedonga i Che Guevarę, zakładająca, że wszelkie dostępne środki są możliwe, a liczne ofiary nie mają znaczenia. *Poezje, opowiadania i powieść Rukiah – pisze Marianna Lis, tłumaczka i autorka Posłowie – łączą powracające tematy i motywy, symbole i obrazy. Jej siła tkwi w budowanych przez nią narracjach, które podważają i rozbijają oczekiwania czytelników. Większość historii podejmujących temat rewolucji skupia się na doświadczeniach mężczyzn i ich heroicznej*

walce o niepodległość. (s. 128) Kobiety wiązały się wtedy z radykalnymi bojownikami, bo prawie wszyscy mężczyźni byli zaangażowani w jakiś lewicowy lub islamski ruch.

Bohaterka S. Rukiah o imieniu Sus, została wychowana w tradycyjnej, muzułmańskiej rodzinie, gdzie ojciec niewiele miał do powiedzenia, a wszystkim rządziła autorytarnie matka. Sytuację dodatkowo komplikowały stosunki z dwiema jej siostrami – Liną i Dini, reprezentującymi różne podejście do życia. Matka żądała od córek posłuszeństwa, szybkiego znalezienia dobrze sytuowanego kandydata na męża i nie znosiła sprzeciwów. Jeśli jakiś mężczyzna przypadł jej do gustu, to tak go zachwalała i tak prowadziła rozmowy z córkami, aż doprowadzała do zamążpójścia (Lina). Niestety Dini postanowiła z tego powodu opuścić dom, a Sus, jako najwrażliwsza z nich, została zagarnięta przez ideologię i zakochała się w komunistycznym partyzancie Luku. Chwila słabości i potrzeba bliskości spowodowały, że zaszła z nim w ciążę, a potem, żeby ochronić siebie i dziecko, poślubiła innego mężczyznę. Ciągłe nosiła w sercu Luka, ale postanowiła zabić w sobie to uczucie i obarczyć winą komunistyczne przekonania jej kochanka: *Morderstwo serca, złamanie serca, stłumienie udawanej dumy – wszystko to zakończyło się odejściem, wygnaniem i jednym krótkim pytaniem: „Luk jakie przesłanie niesie twoja historia (...) Zamknęłam to czerwone pytanie w szufladzie i przekręciłam klucz.* (s. 111) To będzie jej upadek, ale zyska on nowe rozumienie, gdy złamany ideolog odwiedzi ją w pięknym domu, który stworzył dla niej mąż – Par – a potem odejdzie już na zawsze, godząc się na pozostawienie przy nich syna. Płacz Sus i tulenie dziecka, nie stłumią w niej uczuć, ale głębokie postanowienie o oddaleniu dawnego świata, pozwoli jej dalej trwać i godzić się na nowe dni u boku mężczyzny, którego nie kocha i na pozostanie w matni niespełnionych uczuć. ♦

S. Rukiah, *Upadek i serce*, z jęz. indonezyjskiego przeł. Marianna Lis, PIW 2026, s. 135.

Dorota Czerwińska

Haiku

dojrzałe zboże
coraz dłuższe warkocz
mojej córeczki

między palcami
wplata się w rudy szalik
babie lato

a kuku
pomiędzy szatanami
prawdziwek

dziś o poranku
czego szukasz gołąbku
wśród złotych liści?

przy leśnej drodze
w błyszczącym kapeluszu
muchomor? kania?



NOCLEGI ŻNIN
Stara KAMIEDICA

5
ul. 700-lecia

tel. 602 242 061 • www.noclegiznin.eu

Ludzie, cyborgi, maszyny

Żyjemy w epoce, w której gwałtowny, permanentny rozwój sztucznej inteligencji przeobraża i będzie zmieniał nasze życie w wielu dziedzinach, wymuszając adaptację społeczeństwa do nowych warunków. Zdaniem wielu uczonych, filozofów, ludzi biznesu (np. S. Hawkinga, M. Tegmarka, N. Bostroma, B. Gatesa, E. Muska, J. Glenna) ludzkość wchodzi w nową erę, gdy ludzie zastąpią modyfikowani przez sztuczną inteligencję postludzie, tych zaś zastąpią w dalszej perspektywie syntetyczne superinteligencje. Niektórzy futurologowie wieszczą nadejście momentu tzw. osobliwości technologicznej, czyli hipotetycznego stanu cywilizacji, kiedy maszyny osiągną poziom inteligencji przewyższający ludzi, a ich rozwój będzie dla człowieka już całkowicie nieprzewidywalny. Tym trendom patronuje transhumanizm, ruch społeczny o charakterze filozoficznym i politycznym, głoszący, iż nauka i technika pozwolą kierować ewolucją ludzkości, dając początek radykalnym zmianom natury ludzkiej: od poszerzenia zakresu percepcji, po zatrzymanie chorób i procesów starzenia, aż do uzyskania nieśmiertelności biologicznej¹.

SUSAN SCHNEIDER w eseju *Świadome maszyny. Sztuczna inteligencja i projektowanie umysłów* (w oryginale *Artificial You: AI and the Future of Your Mind*, University Press, Princeton 2019) podejmuje wszechstronnie i wieloaspektowo problem świadomości sztucznej inteligencji oraz potencjalnych społecznych i filozoficznych następstw tego zjawiska, które jest etycznym wyzwaniem: *Jeśli bowiem nie będziemy ostrożni, możemy doprowadzić do pojawienia się jednej lub wielu przewrotnych konsekwencji SI – do sytuacji, w której nie będzie ona ułatwiać nam życia, ale sprawi, że będziemy cierpieć, doprowadzi do naszej zagłady albo wyzysku innych świadomych bytów* (s. 10).

Spór o możliwość sztucznej (resp. maszynowej, syntetycznej, cyfrowej) świadomości jest sensowny, merytoryczny, gdy panuje przynajmniej przybliżona zgoda co do zakresu i treści terminu *świadomość*. Na oblicze współczesnej dyskusji o świadomości znacząco wpłynęła dystynkcja wprowadzona przez amerykańskiego filozofa umysłu N. Blocka na świadomość fenomenalną i świadomość dostępu². Możemy zatem operować mocniejszym (świadomość fenomenalna) lub słabszym pojęciem świadomości (świadomość dostępu) i stosownie do przyjętych założeń konkluzja o świadomości SI może jawić się nam jako oryginalna lub banalna. Pisząc o *świadomości*, Schneider odnosi się do świadomości fenomenalnej, którą odróżnia od funkcjonalnej (resp. poznawczej), czyli w sensie zbliżonym do świadomości dostępu w ujęciu N. Blocka.

Wstępnie należy stwierdzić, że sztuczna świadomość jeszcze nie istnieje, nie wiadomo nawet, czy w ogóle kiedyś po-

wstanie – bo nie dla wszystkich jest to oczywiste³. Spór toczy się zatem między zwolennikami tezy o możliwości sztucznej świadomości, jej przeciwnikami oraz tymi, którzy pozostawiają tę kwestię jako otwartą. Naturalizm biologiczny⁴ definiuje Schneider jako stanowisko negujące możliwość sztucznej świadomości (np. S. Blackmore, M. Gazzaniga), głoszące, że substratem świadomości mogą być wyłącznie struktury biologiczne. Słusznie, jak sądzę, odrzuca wnioski z zaproponowanego przez J. Searle'a eksperymentu myślowego *chiński pokój*, jako rzekomo przesadzającego niemożliwość świadomości SI. Technooptymizm (np. R. Kurzweil, D. Chalmers, D. Dennet, J. Bach) to stanowisko, które głosi, że powstanie świadomości maszynowej jest możliwe. Technooptymizm ma podstawę w funkcjonalizmie, czyli w poglądzie na temat relacji umysł-ciało, głoszącym, że sfera mentalna może mieć różne substraty, ale musi egzemplifikować przyczynowo tę samą strukturę funkcjonalną⁵. Warunki powstania świadomej SI zostaną spełnione, gdy powiemy, że jest ona: możliwa logicznie (niesprzeczna pojęciowo), możliwa nomologicznie (nie kłóci się z prawami przyrody), możliwa technologicznie (jesteśmy w stanie ją zbudować). W sporze między przeciwnikami i zwolennikami bytu sztucznej świadomości Schneider zajmuje stanowisko agnostyczne: [...] *jest zwyczajnie za wcześnie, by określić, czy sztuczna świadomość jest możliwa* (s. 39), przewidując, że tę kwestię rozstrzygnie przyszłość: *Niepewność, przed którą stoimy, każe mi przyjąć stanowisko pośrednie między technooptymizmem i naturalizmem biologicznym. Nazwę je po prostu podejściem »poczekamy, zobaczymy«* (s. 54).

Niemniej istotny jest aspekt epistemologiczny-metodologiczny problemu, czyli jak rozpoznamy hipotetyczną świadomość, której nośnikiem byłyby artefakty. Schneider proponuje trzy testy. Pierwszy z nich to test *odwróconego Turinga*, czyli zestaw pytań dających dostęp do tego, co się dzieje wewnątrz domniemanego umysłu. Ów test ma charakter warunku wystarczającego, wszak można wyobrazić sobie byt obdarzony świadomością fenomenalną, który go nie zalicza. Drugi to test implantu, czyli zastępowanie struktur biologicznych implantami, sprawdzając każdorazowo, czy życie mentalne nadal jest podtrzymywane. Trzeci sprawdzian oferuje zintegrowana teoria informacji G. Tononiego, wedle której świadomość to zintegrowana struktura informacyjna. Każdy byt jest świadomy, gdy posiada minimalną wartość poziomu integracji informacji Φ , będącą ilościową miarą świadomości fenomenalnej. Wskaźnik Φ trudno uznać za miarodajne kryterium, bo test na świadomość zalicza fotodioda, a nie wyspecjalizowane bardzo szybkie komputery. Nie wiadomo nawet, czy wskaźnik Φ jest warunkiem koniecznym świadomości.

Zdaniem autorki, należy zachować ostrożność etyczną w przypadku fuzji umy-

ślu ze sztuczną inteligencją, tym bardziej że wbrew fuzjoptymistom (M. Kaku, R. Kurzweil, E. Musk) nie istnieje żadna przekonująca teoria tożsamości osobowej, potrafiąca empirycznie dowieść, że umysł rozumiany obliczeniowo zachowuje ciągłość psychiczną na innym substracie niż mózg. Unikalny *casus* śmiertelnie chorej na nowotwór Kim Suozzi, która korzystając z kloniki, zdecydowała się zamrozić aż do momentu, gdy technologia będzie w stanie ją wyleczyć i przywrócić do życia jej mózg, stanowi punkt wyjścia do pytań o możliwość transferowania umysłu na trwalszy niż biologiczny nośnik, co pozwala żywić nadzieję na nieśmiertelność biologiczną. Jeżeli umysł jest bytem, który umożliwia działanie programu komputerowego, to teoria konkretyzacji programu jest do uzgodnienia z dowolnym rozwiązaniem problemu psychofizycznego: panpsychizmem, dualizmem substancji, dualizmem własności, fizykalizmem, idealizmem. Ponieważ nie wiemy, kiedy konkretyzacja wzoru (resp. osoby) programu komputerowego może przetrwać, to: *Należy się zastanowić, czy możemy powiedzieć, uwzględniając daną definicję osoby, że po tych radykalnych zmianach nadal będziesz istnieć. A może raczej zastąpi cię ktoś inny lub coś innego?* (s. 111).

Spotkanie z obcymi cywilizacjami z kosmosu, które mogą być bardziej rozwinięte niż nasza i niekoniecznie przyjaźnie nastawionymi, sugeruje zachowanie daleko posuniętej roztropności: [...] *spotkanie z choćby jedną wrogą cywilizacją na milion może okazać się zgubne. Być może któregoś dnia osiągniemy stadium, w którym będziemy mogli być pewni, że superinteligencje z kosmosu nie stanowią dla nas zagrożenia, ale na razie nie mamy podstaw, by odczuwać taką pewność* (s. 156).

Szerokie spektrum problemów analizowanych w książce ilustruje bogata w treści filozoficzne filmiteka i literatura science fiction (np. *Łowca androidów*, *Ona*, *Matrix*, *Dzień Niepodległości*, *Westworld*, *Battlestar Galactica*, *Gwiezdne wojny*, *Jetsonowie*).

Tylko twórcza symbioza między filozofią a nauką pozwoli sprostać wyzwaniu, przed którym stoimy: *Udało nam się dostrzec, że nauka leżąca u podstaw nowych technologii może zakwestionować i poszerzyć nasze filozoficzne ujęcie umysłu, jaźni i osoby. Filozofia z kolei pozwala nam dostrzec, co osiągnąć mogą te technologie: czy mogą pojawić się świadome roboty, czy można by zastąpić większość mózgu mikroprocesorami i mieć pewność, że pozostaniemy sobą – i tak dalej* (s. 214).

Reasumując, problem świadomości SI można rozumieć dwójako: w pełni jego złożoności lub w sposób uproszczony. W pierwszym ujęciu ma on charakter otwarty, nie ma racji, aby przyjąć lub odrzucać tę możliwość, oczekując na to, co przyniesie rozwój nauki i technologii. W drugim ujęciu okoliczność, iż pewne SI specyficznie przejawiają kreatywność: prymitywne formy rozumowania, uczenie się, reprezentują siebie, naśladują zachowania wyrażające świadomość, działają autonomicznie, tworzą abstrakcje, prowadzi do uznania, iż SI mają niektóre cechy świadomości funkcjonalnej (np. uwaga, pamięć robocza). Jednak funkcjonalna charakterystyka

świadości jest dość ubogą formą świadomości i nie kryje się za tym nic więcej niż roszczenie, żeby zombi SI opisywać jako świadome, a spór traci charakter empiryczny i staje wyborem pewnej konwencji terminologicznej⁶. ♦

Susan Schneider, *Świadome maszyny. Sztuczna inteligencja i projektowanie umysłów*, przeł. J. Bednarek, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2021.

Przypisy:

¹ Cele transhumanizmu, szanse i zagrożenia, jakie niesie, zostały wyłożone w 1998 r. w: *Deklaracji transhumanistycznej* przez filozofów N. Bostroma i D. Pearce'a. Por. N. Bostrom, *Superinteligencja: scenariusze, strategie, zagrożenia*, przeł. D. Konowrocka-Sawa, Helion, Gliwice 2016. Zwolenniczką tego nurtu jest też S. Schneider.

² W 1997 r. Ned Block w rozprawie *On a Confusion about a Function of Consciousness* dokonał podziału na: świadomość zjawiskową, fenomenalną (*phenomenal consciousness*), do której zaliczył subiektywne przeżywanie wrażeń (np. smak czekolady), spostrzeżeń, emocji i świadomość dostępu (*access consciousness*), czyli kompetencję do wykorzystywania informacji w rozumowaniu, w kontroli działań i mowy. Świadomość dostępu wiąże się ściśle z poznaniem, intencjonalnością, zawiera zawsze treści reprezentacyjne, a jej przykładami są myśli, przekonania i pragnienia. Świadomość fenomenalna to świadomość ujęta z punktu widzenia pierwszej osoby, zaś świadomość dostępu to świadomość widziana z perspektywy trzeciej osoby, czyli zewnętrznego obserwatora. Jakkolwiek zdaniem Blocka świadomość fenomenalna i świadomość dostępu zazwyczaj idą w parze, to możliwe są sytuacje posiadania świadomości dostępu bez fenomenalnej świadomości, np. zombi behawioralnie nieodróżnialni od bytów świadomych. Block, wykładowca w MIT, rozpowszechnił też metaforę umysłu jako oprogramowania mózgu. Problem istnienia zombi, czyli istot pozbawionych świadomości, jednak nieodróżnialnych na podstawie zachowania od istot świadomych, spopularyzował David Chalmers, australijski filozof umysłu. Oczywiście, zombi z eksperymentów myślowych filozofii umysłu nie ma nic wspólnego z zombi z horrorów czy wierzeń voodoo w kulturze haitańskiej.

³ W 2023 r. Blake Lemoine, inżynier pracujący w Google, ku zdziwieniu swoich przełożonych, oznajmił światu, że program *Language Model for Dialogue Applications*, czyli LAMDA, jest tworem świadomym. Owo stwierdzenie nie było niczym więcej niż prowokacją intelektualną, ale też świetnym chwytym marketingowym, który miał przekonać opinię publiczną o nieograniczonych perspektywach branży SI.

⁴ Termin *naturalizm biologiczny* jest mocno wieloznaczny. Zazwyczaj kojarzy się on z rozwiązaniem problemu psychofizycznego, zaproponowanym przez J. Searle'a, próbującym usytuować się kompromisowo między materializmem redukcjonistycznym a dualizmem własności. Searle, jakkolwiek jest znany ze słynnego eksperymentu myślowego *chiński pokój*, odmawiającego komputerom cyfrowym zdolności rozumienia, a tym samym świadomości, porównując je do maszyn działających na zasadach syntaktycznych, dopuszczał uzyskanie świadomości przez struktury neuromorficzne.

⁵ Stanowisko to – wyrażone *implicite* przez A. Turinga w artykule *Computing Machinery and Intelligence* w 1950 r. – zostało w pełni wyartykułowane w artykule H. Putnama *Minds and Machines* w 1960 r. Funkcjonalizm jest neutralny ontologicznie, ale po dołączeniu założenia, że sfera mentalna jest realizowana przez nośniki fizyczne, staje się formą materializmu. Schneider dopuszcza się tu pewnego uproszczenia, mówiąc o komputacyjnej (obliczeniowej) teorii umysłu, tymczasem komputacjonizm (umysł to maszyna przetwarzająca informacje) i funkcjonalizm to poglądy różne. Komputacjonizm jest spójny z funkcjonalizmem, ale obydwa poglądy mogą występować niezależnie, np. P. Churchland jest komputacjonistą bez funkcjonalizmu.

⁶ Dlatego należy zgodzić się z opinią, że: *To, czy uważamy, że maszyny mogą mieć świadomość, jest nadal w dużej mierze decyzją arbitralną*, w: S. Krajewski, *Umysł a metalogika*, w: *Przewodnik po filozofii umysłu*, red. M. Miłkowski i R. Poczub, Wydawnictwo WAM, Kraków 2012, s. 635.

Jerzy Grupiński

I tylko ten co dotyka ziemi...

Wiersze zebrane PAWŁA KUSZCZYŃSKIEGO nie są pierwszą sumą twórczości poznańskiego poety, kilka lat wcześniej autor obdarzył nas wyborem tekstów z lat 1962–2007 pt. *Niedosyt istnienia*. Teraz otrzymaliśmy *Wiersze zebrane*, obszerny tom liczący ponad 400 stron, książkę-księgę ważną, sumującą 14 poetyckich pozycji Pawła Kuschczyńskiego. Układ tekstów prowokujący, bo czytamy wiersze od najnowszych, po teksty z pierwszego tomiku *Powroty*. Zbiór zamykają *Wiersze nowe*. Paweł Kuschczyński ważna postać życia literackiego nie tylko w środowisku poznańskim. Pisarz piastujący po raz trzeci godność prezesa poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Twórczość ważna, chętnie przyjmowana i będąca zarazem atrakcyjnym „przedmiotem” opisu, badań – krytyków chętnie pochylających się nad książkami poznańskiego autora. Pamiętam świetną, głęboką recenzję profesora Krzysztofa Małonia. Wracam do też do słów Stanisława Pastuszewskiego w „Akancie” (nr 5/2023): „Żarliwość P. Kuschczyńskiego, a jest on we wszystkim co czyni wyjątkowo gorący, przysłoniły literacką elegancję a nawet literacki elementarz formalny. Dał się, choć nie on jeden...”. I zastanawiam się nad zasadnością tej oceny. Tym bardziej, że krytyk kończy omówienie zdaniem: „I ta żarliwa wierność wartościom niesie wysoko poezję Pawła Kuschczyńskiego”. Inaczej czyta Kuschczyńskiego Andrzej Walter w „Gazecie Kulturalnej” (nr 7, 2022 r.): „W poezji poznańskiego poety słowa-rzeczy powstają przy pomocy magicznych powiązań jak barwy i dźwięki. W miłości, nienawiści, w gniewie, w leku, radości i rozpacz”.

W tej sytuacji, oczywistym staje się zwrot do źródła, do tekstów poety, składających się na *Wiersze zebrane*. Otwieram więc Pawłow Księgę i uwiedziony czytam jeden z ostatnich, starszych tekstów... „Ściana zjawia się nagle / trzeba szukać drzwi, / a kto za nimi stoi? / (odwieczne pytanie). / Czy jest tam DOM” (z wiersza *Istnienie*). Wracam do pierwszych kart książki, do wierszy nowszych i znajduję tekst tak mi bliski... „Ciagle jestem tamten chłopiec / ukryty między regałami książek...” (*Przywołanie*). I tu wbrew recenzenckim obyczajom, niech mi będzie wolno dopisać początek mojego wiersza... „Czy jestem tym chłopcem / który wbrew zakazowi / stworzył Księgę Ezechiela / i zaczął czytać...” (*Historia o chłopcu*). W moim „bliźniaczym” tekście, gdy bohater doznaje aktu samoświadomości, w poincie „ogień wyszedł z Księgi / i go pochłoniął.” W wierszu Pawła Kuschczyńskiego inaczej: „Życie wypełniać dobrem prawdą i pięknem / Rozmowa dusz najczystsza pozostaje / Słowo ???? pamięć”.

Idźmy do pierwszych książek Pawłowych... W debiutanckich *Powrotach* wiele pięknych obrazów przyrody budujących obraz, bliski kontakt z czytelnikiem – słońce biegnące po zboczu, jabłoni w akcie

daru, tajemnica nasion, „dostojność drzew i przyjaźń ptaka”... Matka natura jest dobra, buduje wizje kontaktu z Nieskończonym – z Bogiem. W następnych (cofając się) książkach, dzwon ma Anioł Pański, obrazy nieba, człowiek jako znak, ślad z Istoty Nieskończonego, Ziemia – świątynia pokory... W miarę lat życiopisania, coraz częściej pojawiają się w tych tekstach motywy modlitewne, pojęcia teologiczne, pytania o los człowieka w ręku Boga, zapiski – refleksje z uczestnictwa w mistycznym Zamyśleniu, w nauce Kościoła. I chwała za to autorowi *Wierszy zebranych*. Tak rzadko natrafiamy na książki poetyckie opowiadające nam o akcie wiary, jedności z Nieskończonym: „dziecięcą latarką rozmawiałem z niebem...”, „niezapisane niebo / które niestrudzenie / ukrywa Boga”. Pośredniczką między człowiekiem a Nieskończonym jawi się muzyka „najbliższa siostra poezji”.

Obok tych wysoko mierzących tekstów, poeta nie wahał się zamieścić w *Wierszach wybranych* owoców swej fascynacji historią Polski, wierszy poświęconych wybitnym postaciom, wydarzeniom kształtującym nasz narodowy byt. Stąd utwory – portrety poetyckie Jana Pawła II, Paderewskiego, Hubala, Cegielskiego i innych. Pawłowe Opus Magnum zamyka, pełne głębokiej refleksji, posłowie Marii Magdaleny Pogaj. Współpracujący od lat z poetą profesor Józef Petruk zamieścił w książce swe grafiki. A skoro mamy czynienia z poetycką sumą, owocem tylu lat pracy w Słowie, jak nie podjąć na koniec próby spojrzenia na poetycką drogę Pawła Kuschczyńskiego. Niezwykła to ścieżka, bo autor miast poszukiwać, eksperymentować w Słowie, miast rozbijać, „słowotworzyć”, ryzykować... Obiera inną drogę, pogłębiając w kolejnych książkach problematykę etyczno-moralną, refleksję, towarzyszącą pokoleniom Homo Faber, Homo Sapiens...

Motyw Anteusza, bohatera greckich mitów (mocarza, który podniesiony nad ziemię, tracił siły) wraca w poezji Pawła Kuschczyńskiego. Czytamy: „Tak ważna jest ziemia dla stóp...” „I tylko ten, co dotyka ziemi wzniesie się może...” ♦

Paweł Kuschczyński – *Wiersze zebrane* (redakcja Jerzy Benjamin Zimny, grafika Józef Petruk, posłowie Maria Magdalena Pogaj), Biblioteka ReWitów, Poznań, 2025

Antologia „Akantu”

Ukazała się *Antologia „Akantu”* za lata 2018–2022. Zawiera ona spis autorów z tego okresu wraz z ich sylwetkami oraz fotografiami, a także – co jest ważne dla literaturoznawców – spis recenzji i opracowań twórczości. Antologię taką wydajemy co 5 lat, dzięki czemu bardzo łatwo można znaleźć poszukiwany utwór. Antologię można nabyć korespondencyjnie w redakcji „Akantu”.

Cena wraz z przesyłką: 35 zł
Nr konta: 0312401183111001002291025

Andrzej Stanisław Sepiół

Agnieszka Zięba-Dąbrowska i jej *Liryki warszawskie*

Kilka miesięcy temu, opracowując recenzję książki *Na Anioł Pański biją dzwony. Antologia w obronie chrześcijańskiej Europy* uznałem, że województwo świętokrzyskie jest kuźnią talentów poetyckich. Do grona twórców obdarzonych takim kunsztem zaliczyć można Panią dr **AGNIESZKĘ ZIĘBĘ-DĄBROWSKĄ**, chociaż brak jest jej utworów we wspomnianej antologii. 50 km na południe od Kielc – stolicy województwa znajduje się miasto powiatowe Busko-Zdrój i tam urodziła się właśnie wspomniana autorka. Obecnie mieszka w Warszawie, gdzie pracuje w Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, niemniej nadal związana jest głęboko z województwem świętokrzyskim. Pełni funkcję wiceprezesa Fundacji Kultury Regionalnej „Radostowa” w Starachowicach i sekretarza redakcji czasopisma „Radostowa”. Wydała do tej pory 14 książek z zakresu literatury pięknej (poezja, proza). Uzyskała stopień naukowy doktora nauk humanistycznych w zakresie historii. Jest poetką, prozaikiem, krytykiem literackim, podróżniczką. Należy do Międzynarodowego Stowarzyszenia Polskich Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów z siedzibą w Szwecji, Związku Literatów Polskich Oddział Warszawski, a także Warszawskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Została laureatką kilku nagród z dziedziny literatury przyznawanych w województwie świętokrzyskim.

W styczniu 2023 r. wydała książkę poetycką *Barwy Litwy*, stanowiącą zbiór liryków o Wilnie i Litwie. Warto wspomnieć, że tym samym udało jej się nawiązać do jubileuszu 700-lecia historii Wilna, albowiem pierwsza wzmianka o tym mieście pochodzi z 1323 r. i została zamieszczona w liście wielkiego księcia Giedymina do papieża Jana XXII. Promocja książki miała miejsce na litewskiej ziemi w dniu 13 października 2023 r. w Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie z jednoczesną relacją na żywo w miejscowej telewizji.

Kolejnym tomem wierszy tej pisarki są *Liryki warszawskie* (100 wierszy o współczesnym pejzażu stolicy). Książka ta została wydana w Warszawie w 2025 r., a wydawcą było Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego. Wstęp pt. *Biblioteka poetów. Seria wydawnicza Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego* opracował dr Janusz Gmitruk – dyrektor Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego. Słusznie wskazuje on, że powyższa publikacja z kolei zbiega się z 80. rocznicą wyzwolenia stolicy 17 stycznia 1945 r., skutkiem czego miasto to, jak feniks z popiołów, zostało odbudowane ofiarnością całego narodu.

Omawiany tom poetycki Agnieszki Zięby-Dąbrowskiej mimo zawartych w nim stu utworów nie jest obszerny, albowiem jej liryki są krótkie, zwięzłe i każdy utwór zajmuje tylko jedną niecałą stronę. Dzie-

ło to stanowi swego rodzaju pisarskie portfolio, w którym poetka prezentuje zrodzone z głębokiej ekscytacji i ulotnych, aczkolwiek dogłębnych przemyśleń literackie miniatury na temat współczesnego, wydawałoby się mało poetyckiego, pejzażu stolicy. Na marginesie należy nadmienić, że na końcu książki zostały zamieszczone także 22 kolorowe ilustracje do wierszy. Pod spodem liryki te opatrzone są w zdecydowanej większości datami ze wskazaniem miejsca powstania, w oparciu o co wiadomo, że niemal wszystkie zostały napisane podczas pobytu w Warszawie, a niektóre podczas przejazdów między stolicą, a innymi miejscowościami. Czasem też autorka podaje dokładną godzinę i minutę, co skłania do wniosku, iż jest niezwykle skrupulatna, ponadto zaś świadczy o jej lotności i przenikliwości umysłu, co w efekcie pozwalało w ciągu krótkich chwil natchnienia uchwycić sedno warszawskiego krajobrazu i jego duszę.

W wielu przypadkach zastosowała do swoich wierszy przypisy, które przybliżają temat, niejednokrotnie też przedwojenną historię. Utwory jej zaś w szczególności dotyczą zabytkowych budowli (np. Pałac na Wodzie w Łazienkach Królewskich, Pałac Przebendowskich/Radziwiłłów, Pałac Staszica, zabytkowy hotel Bristol, Dworek w Żelazowej Woli), pomników (np. Wincentego Witosa, Adama Mickiewicza), rzeźb (np. „Syzyf”, „Pusta Pieta” na Placu Trzech Krzyży), figur (np. Jana Nepomucena, Matki Boskiej Pasawskiej), obrazów (np. Natanieli Błażejczyk „Kogut”, Reginy Balinow „Gęsi”, Karla Friedricha Lessinga „Krajobraz z gór Eifel”, Rembrandta van Rijna „Dziewczyna w ramie obrazu” oraz „Uczony przy pulpicie”), obiektów sakralnych (np. Kościół Św. Aleksandra, Bazylika Św. Krzyża, drewniana kapliczka z Jezusem Frasobliwym, katedra prawosławna Świętej Marii Magdaleny), a także innych obiektów (np. warszawskich mostów) i innych dzieł sztuki. W kręgu zainteresowań pisarki są też, co należy podkreślić, warszawskie, czy też wchodzące w skład tej aglomeracji muzea (np. „Żółta Karczma”, czyli siedziba Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, „Stawisko” Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów, Muzeum Marii Dąbrowskiej). Warszawa jest ukazywana z różnych perspektyw – zarówno poprzez reprezentacyjne miejsca stolicy, jak i przestrzenie mniej znane, czy znajdujące się poza głównymi szlakami turystycznymi. Poetka pozwala odbiorcy odczuwać miasto poprzez jego architekturę, atmosferę i skojarzenia. Dodatkowy smaczek jej lirykom dodaje nawiązywanie tu i ówdzie do minionych ludzi kultury związanych ze stolicą, jak chociażby do pisarzy Jarosława Iwaszkiewicza, Antoniego Słonimskiego, poety Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, czy też dawnego piewcy stolicy Artura Oppmana (popularnego

niegdyś „Or-Ota”). Któż ze starszego pokolenia nie zna jego legend warszawskich o syrenie, bazyliżku, czy złotej kaczcze?!

Z aptekarską precyzją i zegarmi-strzowską dokładnością, korzystając z wielu figur stylistycznych, Agnieszka Zięba-Dąbrowska, jako warsavianistka o wiele młodsza swym pokoleniem od „Or-Ota” konstruuje swoje lapidarne teksty, dążąc do maksymalnej syntezy, kosztem nie-domówień, ale takich, które zmuszają uważnego czytelnika do głębszej analizy i do domysłów, zwykle niejednoznacznych. Analizując wiersz p.t. *Arturowi Oppmanowi* widzimy, że pisarka wspomina o redagowanym przez „Or-Ota” piśmie „Wędrowiec” i wskazuje, że ten piewca starego miasta Warszawy z czasów przedwojennych uścił swoimi legendami i bajkami wizje miasta „poetyckim tamburynem”. Tymczasem Warszawa po odbudowaniu znowu jest piękna. Artur Oppman prowadzi zatem współczesną poetkę „przez legendy wio-lonczeli światła do miejsca odrodzenia epitafium”. Pisarka niewątpliwie zna teksty „Or-Ota” o Warszawie i w czasach współczesnych w sposób charakterystyczny tylko dla siebie nawiązuje do nich w tym sensie, że dąży do przywrócenia blasku pejzażowi stolicy.

Wszystko to u niej w ramach białego wiersza jest sygnalizowane w wielu utworach jakimś detailem, co mówi dużo o spostrzegawczości i zdolności do kojarzenia, a przy tym jest nakreślone lakonicznie, jakby od niechcenia.

Skróty myślowe autorki sięgają bowiem o wiele dalej, niż by to wynikało z kanonu „najmniej słów” Juliana Przybosia, co zauważył jeden z recenzentów (Andrzej Zaniewski), nawiązując do tytułu znanego tomu wierszy tego poety wydanego po raz pierwszy w 1955 r.

Jeśli już mowa o Przybosiu, to przypominę, że niegdyś córka malarza Wojciecha Kossaka, a siostra Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej – pisarka Magdalena Samozwaniec tak się o nim wyraziła, co przeszło do historii literatury: „Nawet wrogów horda przyzna, że ma w sobie coś z Małego Lorda”. Nie wiem, czy poetka wywodząca się z Buska Zdroju ma wrogów, mam nadzieję, że nie. W ślad za tym niemniej poniżej napiszę w sensie pozytywnym, pełen uznania dla niej sprostowany powyższym cytatem to, co mi się narzuca w drodze paraleli, po lekturze tomu wierszy *Liryki warszawskie*: „Nawet wrogów setka przyzna, że ma w sobie coś, co winna mieć Poetka”. Poetka przez duże „P”!!! Jej wiersze bowiem epatują dojrzałością, erudycją, miłością do Warszawy oraz Polski i każdy to powinien zauważyć. Także ten, któremu nie odpowiada tego rodzaju wysublimowana poezja.

Aby spełnić warunek *sine qua non* dobrego wiersza poetka ta z pełnym przekonaniem przyjmuje jako punkt odniesienia, że „Poezja jest realizowaniem niemożliwości. Każdy prawdziwy wiersz jest szturmem nieba, zamachem na świat”, jak by można podsumować, cytując wspomnianego Juliana Przybosia.

Autorka z dużą swobodą, wydawałoby się bez wysiłku opisuje ciekawostki i zabytki stolicy, trzeba przyznać, że nieźle

się orientuje w zakamarkach tego miasta. Jej książka ma niewątpliwe walory intelektualne, imponuje trafnym doбором wyrazów, metafor, uchwyceniem właściwych detali, na koniec sensualnością. Język utworów jest finezyjny, lecz nie popada w manierę. Narracja cechuje się stylistyczną dyscypliną i wysmakowaną frazą. Twórczyni operuje językiem precyzyjnym, a zarazem sugestywnym. Warstwa stylistyczna pozostaje w harmonii z intelektualnym potencjałem dzieła. Fraza jest kunsztowna, lecz pozbawiona zbędnej ornamentyki. Liryki cechuje swoboda nie-raz granicząca z świadomą dezynwolturą w doborze odpowiednich znaczeniowo słów, czasem wyszukanych, a innym razem prostych i powszednich. Krótka mówiąc w poezji tej występują: kondensacja, skrót, eliptyczność, metaforyzacja i rezygnacja z rozbudowanego opisu.

Gwoli przykładu wiersz *Krzysztofowi Kamilowi Baczyńskiemu* to zarówno hołd dla tego poety, jak również w ujęciu poetyckim jak gdyby psychologiczne *curriculum vitae* tego zmarłego twórcy podczas powstania warszawskiego. A wszystko to ujęte w zaledwie 10-ciu bardzo krótkich wersach. Posłuchajmy zatem tego finezyjnego operowania słowem, do czego autorka ma dar: „*Młodość zakochuje się w pięknie/ hono-ru/ palcami przesuwając/ namiętność uczucia/ wierne pąkowi walki/ na barykadach czasu/ poznają Twoją twarz/ wiersze Cherubinów/ płoną diamentami/ Euterpe*”. Co ciekawe utwór ten powstał dokładnie w 80. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego.

Autorka ta z codziennych elementów podczas wędrówki po stolicy buduje nastrój i pozwala czytelnikowi samemu dopowiedzieć sens. Dzięki temu jej wiersze mają charakter refleksyjny, obrazowy i nastrojowy. Można powiedzieć, że piękno *Liryki warszawskich* tkwi w połączeniu prostoty obserwacji, przetykanej tu i ówdzie ornamentyką, z bogactwem wyobraźni. Pisarka pokazuje, że niezwykłość można odnaleźć w rzeczach pozornie dla Warszawy zwyczajnych – w krajobrazie, wspomnieniu, ludzkim uczuciu, czy przemijającej chwili. Teksty jej stają się dzięki temu sposobem uważniejszego patrzenia na świat i na samego siebie. Jest to jednak poezja wymagająca, która nieoczytanemu czytelnikowi może sprawić nawet sporą trudność w odbiorze. Należy jednak pamiętać, że lapidarny styl paradoksalnie wzmacnia przekaz, a wiersze nie tracą na wartości przy ich kolejnej, czy też wielokrotnie powtarzanej lekturze. Warto delektować się tymi wierszami, aby chociażby: zatopić się w myślach, gdy „*anonimem twarzy krzyczy lampion czasu*” (*Zaduma nad Cmentarzem Bródnowskim*), udać się w wyobraźni do Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, miejsca pracy poetki, gdzie „*muzyką róż dyryguje wiatr/ pod sercem alejek/ wytryska źródło/ ludowej/ kantaty*” (*„Żółta Karczma”*), skierować swoje kroki do Łazienek Królewskich, gdzie dama zamienia się „*w damę / Pałacu na Wodzie/ rozpaloną ognikami/ Twego pożądania*” (*Łazienki Królewskie*), zwiedzić Muzeum Jarosława Iwaszkiewicza, gdzie

do gabinetu autora *Sławy i chwały* oraz *Matki Joanny od Aniołów* „*leże się poświęca/ zatrzymana pół kroku/ przed portretem wieku*” („*Stawisko*”) i tak dalej.

Bardzo wysoko poezję tę ocenił poeta Andrzej Zaniwski, wypowiadając się tak: „muszę przyznać, że do takiej zegarmistrzowskiej precyzji w »obróbce poetyckiego tekstu« nie zbliżył się dotychczas żaden ze znanych mi poetów, a tu przepraszam, bo powinienem napisać ...poetek”.

Konkludując, tom poetycki Agnieszki Zięby-Dąbrowskiej to spojrzenie jak gdyby z lotu ptaka zarówno na Ślady zostawione przez przeszłość, jak i na Ślady teraźniejszości Warszawy, przy czym roztaczając przed nami widoki miasta pisarka nie pudruje prawdy, jednak skupia się na szczegółach pozytywnych. Dlatego też do tych opisywanych artefaktów, którymi chlubi

się stolica można w tym miejscu dopowiedzieć, jako puentę, a może przestroge sentencję z wiersza księcia poetów biskupa Ignacego Krasickiego (*Do ks. Adama Naruszewicza, o pisaniu historii*): „Czas znika, mija przeszłość, wiek niezwrotnie bieży, / A występów szkaradność lub cnoty przykłady, / Te obrzydłe, te święte zostawiają ślady”. Marząc, aby Warszawa zniszczona w czasie wojny w przyszłości dawała przykład nie tylko wspaniałej architektury, ale i odrodzenia duchowego warto zatem przytoczyć za Julianem Tuwimem (*Warszawa rozblyszana*): „Pędzisz niepowstrzymana w tętniącym galopie/ Wichrem dziejów swych gnana i przyszłości sławą/ Pędzisz i nas porywasz, na dziw Europie/ Strzelista, wyteżona stolico, Warszawo!”.

Agnieszka Zięba-Dąbrowska: *Liryki warszawskie. 100 wierszy o współczesnym pejzażu stolicy*, Wydawca Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Warszawa 2025, ss. 125.

Pierwszy wśród literackich kwartalników



Mieczysław Czychowski
(1931 - 1996)

Palenie w piecu

Pozbierałem rozrzucone:
rozrzucałem obumarłe.
Ile trzeba się natrudzić,
żeby zlepić z prochów – garnek.
Garnek w domu – rzecz potrzebna,
na miód pszczeli i gorczyce.
Siedzę teraz. W piecu palę.
I u ręki palce liczę.
Liczyć palce – rzecz okrutna.
Łatwa. I ogromnie smutna.

W numerze prezentujemy prace Danuty Joppek
Plakat poetycki: Artur D. Liskowacki, Do czego służą wiersze
Plakat: Danuta Joppek
Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2026

Adres redakcji: 80-419 Gdańsk, ul. Dubois 59
e-mail: joa@migotania.pl, tel. 601 840 302

Grzegorz Baciński ● Maria Balcer ● Sławomir Bączkowski ● Andrzej Bogucki ● Grzegorz Borowiec
 Olga Bortnikowa ● Norbert Budzyński ● Hubert Czarnocki ● Dorota Czerwińska ● Anna Czyrska
 Zygmunt Dekiert ● Stanisław Dłuski ● Katarzyna Dominik ● Igor Frender ● Andrzej Frosa ● Szymon Florczyk
 Krzysztof Gołębiowski ● Natalia Grudzień ● Jerzy Grupiński ● Waldemar Jagliński ● Jacek Jaszczyk
 Przemysław Jaźwiński ● Krystian Kajewski ● Magdalena Kalinowska ● Przemysław Kantorski
 Konrad Komorowski ● Krzysztof T.Konecki ● Kazimierz Kozaryn ● Joanna Hetman Krajewska ● Dariusz Lebioda
 Bernard Łach ● Celina Lesiewicz ● Henryk Liszkiewicz ● Michał Łukowiak ● Violetta Makovii ● Jerzy Marciniak
 Wiesław Marcysiak ● Michał Mazurkiewicz ● Bogusław Michalec ● Beniamin Misiak ● Małgorzata Mittelstadt
 Anita Nowak ● Ołeksij Ozirnyj ● Bronisław Pastuszewski ● Stefan Pastuszewski ● Michał Piechutowski
 Marek S.Podborski ● Krzysztof Rogucki ● Robert Rutyna ● Andrzej Stanisław Sepioł ● Ewa Katarzyna Skorupska
 Jan Stanisław Smalewski ● Piotr Smolak ● Emilia Sypniewska ● Dorota Szawdzianiec ● Igor Szańko
 Swiłana Sztatska ● Wojciech Bieluń – Targosz ● Stanisław Topaz ● Wojciech Trzcński ● Andrzej Walter
 Juliusz Wątroba ● Mychajło Żajworon ● Grzegorz Zientecki ● Cezary Żarna



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury*



*Dofinansowano
przez Urząd Miasta Bydgoszczy*



FIRMA RODZINNA
PRODUCENT RYB I OWOCÓW MORZA

NR 1 W POLSCE
NAJLEPSZA JAKOŚĆ
PRZYSTĘPNA CENA
DOSTĘPNY WSZĘDZIE

ABRAMCZYK Sp. z o.o.
ul. Inflancka 7, 85-776 Bydgoszcz

tel./fax +48 (52) 344 56 77
e-mail: sekretariat@abramczyk.pl

www.abramczyk.pl

GRATKA
księgarnia taniej książki

ul. Jezuicka 24 - Bydgoszcz

e-mail: księgarnia_gratka@poczta.onet.pl

tel. (52) 322 62 60

➤ półka ze współczesną prozą
➤ wydawnictwa regionalne



Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelna
 Marek S. Podborski – redaktor działu poezji
 Paweł Skutecki – redaktor
 Malwina Witucka-Krygier – redaktor techniczny
 Wojciech Hetman – redaktor wydania internetowego
 Sławomir Krzyska – redaktor
 Aleksandra Lewek – redaktor

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych

Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1
 85-010 Bydgoszcz, tel. 797 666 895
 ✉ e-mail: akant24@wp.pl
www.akant.org

Konto:
 Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
 Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025

Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77
 85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

Fundatorzy Akantu

Marek Bocian	Wojciech Karpiński	Danuta Anna Rychlicka
Andrzej Bogucki	Paweł Kuszczyński	Roman Rzucidło
Adam Decowski	Maria Kołodziej	Piotr Szczepański
Zygmunt Dekiert	Krzysztof Konecki	Andrzej Sepioł
Piotr Dmochowski	Bartosz Konopnicki	Anna Skrzypek
Jakub Stanisław Domoradzki	Tomasz Kościukiewicz	Janina Sokołowska
Mateusz Dworek	Bogdan Kozłowski	Jerzy Stasiewicz
Hanna Dyks	Piotr Łączyński	Lech Jerzy Stefaniak
Łucja Anna Fice	Piotr Aleksander Łączyński	Krzysztof Stępień
Szymon Florczyk	Magdalena Łubkowska	Jolanta Szejka
Andrzej Gierch	Sławomira Barbara Marczyńska	Marek Szulakiewicz
Natalia Grudzień	Kacper Mironiuk	Elżbieta Vetter
Jerzy Cyryl Grupiński	Maria Nowakowska	Krystyna Wojciech-Ratajczak
Krzysztof Gołębiowski	Jerzy Nowotczyński	Henryk Tokarz
Eleonora Górka	Sławomir Olesiak	Paweł Wacek
Michał i Zofia Hawelko	Jan Organ	Iwona Orzechowska-Wiater
Katarzyna Grażyna Jeziółkowska	Barbara Orlikowska	Tomasz Witkowski
Ryszard Jacek Juszczak	Magdalena Pelczyńska	Joanna Zientecka
Magdalena Kalinowska	Magdalena Podobińska	

RADA REDAKCYJNA:

Rafał Berger, Marek Pietrzak – przewodniczący,
 Wojciech Reszka, Tadeusz Pikul

Nakład 2 000 egz.

